









POD BLACHĄ.



POD BLACHĄ.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

Główny

Bo nie cała Warszawa jest
blachą pokryta.

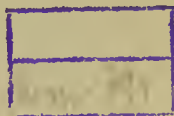
Osiński.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1881.



Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Sp.

450 6 38

KOCHANEMU BRATU
LUCJANOWI KRASZEWSKIEMU

na pamiątkę

przesyła

Drezno 1 Marca 1879.

AUTOR.



I.

— A słowo się stało ciałem! Co ja widzę? Pokutyński?

— Pan Stanisław! *Sacré-nom!* On sam! A ty co tu robisz?

Dwa te wykrzykniki, jeden po drugim słyszeć się dały pewnego dnia zimowego roku 179... na gościńcu przed austeryą w Jabłonnęj.

Dzień był chłodny, powietrze ostre, ziemia śniegiem pokryta, mnóstwo go jeszcze świeżo spadłego wisiało na drzew gałęziach, a wiatr nie miał czasu otrząsnąć. Niebo chmurne, płowe, odbijające się ciemno od całunu rozpostartego na ziemi, zdawało się jeszcze zapowiadać śnieżnicę.

U wrót austeryi stały, tylko co zapewne przybyłe i wstrzymane dla wytchnienia cztery koniki z sankami; zmęczone, robiące bokami, z których

para buchala jak z kotła. Dobry kawał drogi musiały zrobić bez spoczynku.

Z sanek wysiadł był przed chwilą ten, którego pan szambelan Pokutyński nazwał Stanisławem.

Był to mężczyzna nie młody, dosyć otyły, z brzuszkiem foremnie zaokrąglonym, w ciepłej czapce z uszami, w dostatniem futrze pasem czerwonym podciągniętym, w butach ciepłych do kolan, z twarzą rumianą i puculowatą. Wyciągał się właśnie ze zdrętwienia od zasiedzenia w sankach, gdy mu się na oczy nawinął pan szambelan Pokutyński.

Pocziwa to była fizys obywatelska z dawnych czasów, księżycowata, dobrze wykarmiona, na której wszystko co się zrodziło i powstało w duszy, malowało się natychmiast jak w zwierciadle.

Obmarzły wąs napróżno się jój starał dodać marsowego wyrazu. Facyata była dobroduszną, bez dobitnego charakteru własnego, oznaczająca na pierwszy rzut oka człowieka miękkiego, któryby rad czuba sobie nastawić i wydawać się groźnym, aby go nie sponiewierano.

Z rumianych szerokich ust widać było, że nie próżnowały w żadnej posłudze z tych, do których zostały stworzone.

Czoło za to gładkie, spokojne, zasklepiało cza-szkę okrągłą, niemającą żadnych wypukłości złowrogich, widocznie myśleniem zbytelnym i troskami niebardzo znuzoną

O jej gładką powierzchnią fale idei, krążących po świecie, jak o skałę rozbijać się musiały.

Spojrząwszy na pana Stanisława Kostkę z Burzymowa Burzymowskiego, który, zarówno z panem Pokutyńskim, był króla Stanisława Augusta szambelanem, miałeś odrazu konterfekt gotowy człowieka — „jak mnie widzisz tak mnie pisz.“ Nie potrzebowałeś sobie nad nim łamać głowy, jak nad wielą innemi, co są zagadką dla bliźnich, a może dla samych siebie.

Burzymowski choćby był pragnął się zataić, twarzą i mową spowiadał się przed wszystkiemi, a beczki soli dla poznania go wcale było nie potrzeba. Jakim dziś, takim go miałeś zawsze.

Wcale inaczej wyglądał JMPan szambelan Pokutyński, ubrany z miejską, w bardzo ładnym futerku, pokrytym ciemnozielonym aksamitem, z szyją starannie szalem tureckim okręconą, w peruczce staroświeckiej nieco formą, ale świeżej i eleganckiej, na której z pewną kokieterią włożony siedział rodzaj — kapelusika.

Wyglądająca z pod szala i peruki, wygolona starannie, trochę już wiekiem popsuta i nadwierzona, ale troskliwie utrzymywana twarzyczka, błyszczała złośliwością, wesolością, sprytem i dowcipem. Oczki nieco przymrużone śmiały mu się niepocziwie, a usta krzywiły sarkastycznym wyrazem, do którego były nawykłe, tak że im już poważnie się ściągnąć stawało niepodobieństwem.

Choć wcale nie młody trzymał się wykrygowany, prosto, z pewną salonową elegancją, w rękę potrząsając chusteczką, którą nos zakatarzony i od zimna zaczerwieniony, nieustannie musiał ocierać; pilnując razem rękawiczki, raczej do stroju służącej niż mogącej od zimna ochronić.

Nogi też miał opatrzone w zgrabne berlaczyki futerkiem obłożone, na których dbałość o formę i elegancję znać było.

Przekwitła dawno młodość, w dziwnej była sprzeczności z tą kawalerską, innym latom właściwą wytwornością stroju i żywością ruchów, trochę wymuszoną, pana szambelana.

Po wykrzykniku, dwaj panowie szambelanowie zbliżyli się ku sobie pospiesznie przez śnieg brnąc i zaczęli się ścisnąć serdecznie.

Burzymowski spełniał ten obowiązek ze staropolską sumiennością, która, choćby poślinić ale uczciwie w oba policzki plusnąć nakazywała; Pokutyński ścisnął się z pewną oględnością, chroniąc się od mokrego zetknięcia z obmarzłemi wąsami.

— Ale, proszę cię, *nom d'un nom*, — zawołał odsuwając się nieco szambelan Pokutyński, — zkadże się tu wzięłeś? Wszak mieszkacie, *ni fallor*, za austriackim kordonem?

— Ha! tak jest! w austriackim kordonie! A cóż ty zimową porą robisz w Jabłonnę? — odparł z równym pośpiechem Burzymowski. — Wszak

przecie książę Józef zimą w Warszawie rezyduje, pod Blachą?!

— Tak jest! Cóżby on tu robił? — zaśmiał się Pokutyński. — Niema go tu. Powiem ci krótko a węzłowato: bieda mnie tu przypędziła. Z tą młodzieżą terazniejszą gorąco kapana kto się wda, pokoju nie ma nigdy. Otóż i ja umęczony przez nią jestem.

Domyśleć się łatwo — pojedynek! Musiałem tedy *qua* świadek, jako przyjaciel i rozjemca, gdyż starałem się odegrać tę rolę, przywlec tu niepoczewimi sankami, które się co chwila zataczały i boki mi otłukły, po to, ażeby po kilku złożeniach i kilku wykrzykach — być świadkiem pocałowania i zgody!

Cha! cha! cha!

Nikt nikogo ani drasnął, bo *ambo meliores*, rębacze doskonali!

— Ale któż, z kim? — zapytał ciekawie Burzymowski.

— Ty ich nie znasz pewnie. — Pierwszy ten zawadyja nieszczęsny, łomignat, burda, szaleniec Dąbski, co to już raz z przyjaciółmi swemi na patrol pruski wpadł obcesowo; drugi taki sam junak Kalinowski.

Trafił swój na swego i — godnie się wzajem oceniwszy, najczulszą zawarli przyjaźń! — dokończył szambelan, — byle tylko trwała!

W początku myślałem, z animozyi wnosząc,

że się na bigos posiekają i my tylko członki ich na śniegu zebrane odwieziemy do Warszawy.

Pan Stanisław Kostka z Burzymowa Burzymowski stał z usty otwartemi słuchając z zajęciem wielkiem.

— A po cóż się, do licha, ci ichmość aż do Jabłonněj fatygowali, — odezwał się, — przecież ani króla, ani sejmu, ani juryzdykcyi marszałkowskieј w těj opustoszałěj Warszawie nie ma? Mogli w pierwszym lepszym ogródku, na podwórku jakiem swěj krewkości uczynić zadość?

— Może to fantazyja jak inne, a może i racya była! Co ty chcesz? Warszawy pruskieј ty nie znasz! Hm?

Dąbski nie życzył sobie się rąbać w mieście, powiadając, że jak się rozmacha, gotów znowu wpaść na jakiego prusaka. Dla oryginalności tęż zaprosił kuligiem do Jabłonněj. A i to dodać muszę, że w szopie w Łazienkach, gdzie się zwykle te harce odbywały dawniej, książę Józef uprosił gubernatora Koehler'a, aby mu wartę postawił.

Mieli się tedy tu porąbać na kawałki; ruszyliśmy do Jabłonněj, aby nam nikt nie przeszkadzał, a skończyło się na tém, że teraz burgunda piją razem i całują się, dopóki znowu za łby się nie pobiorą...

Co ty się dziwisz, — dodał Pokutyński ci-szěj, — krew nie woda, a czasu pokoju gdy się rąbać nie ma z kim, bije się choć z przyjacie-

lem, aby ręki i animuszu nie stracić! Kto wie, co przyszłość nam gotuje!

Burzymowski obejrzał się niespokojnie dokoła.

— Gdzież oni z tym burgundem? — spytał przestraszony. — Czy nie w ansteryi, broń Boże!

— A! nie! nie! W oficynie książęcój. Wprosilili się do kwatery Brodowskiego, którego starą gospodynię przekupili, że ich tam wpuściła.

Podróżny nasz, widocznie uspokojony swobodniej odetchnął.

— A tobie na co ansterya? — spytał poglądając na niego Pokutyński.

— Ja bo widzisz, jadę dworno, córkę z sobą wiozę, — rzekł Burzymowski. — Tylko co jej nie widać... musimy tu popasać. — Mówiąc to westchnął, machinalnie czapkę poprawił, jakby się chciał w głowę podrapać i twarz jego oblokła się wyrazem troski i zajątkowania.

— Córkę! a! a!.. córkę wiesz na karnawał pod Blachę! — zaśmiał się szambelan. — Dalipan to paradnie!

— Jako żywo! jako żywo! — podchwycił podróżny. — Jeszcze nie wiem, ani co, ani gdzie, ani jak!

Tu nagle przerywając dodał:

-- Ale, o tém potem.

I troskę z siebie otrząsnawszy chwilowo, wyciągnął obie ręce ku Pokutyńskiemu.

— Hej! hej! kolego kochany! wieleż to lat, jakżeśmy się z sobą nie spotykali?

— Ba! Jeżeli się nie mylę, — odparł namyślając się Pokutyński, — od Grodnaśmy się nie widzieli! Pamiętasz? Ostatni raz na balu u Sieversa?..

— Jak Boga kocham, szalona, szalona pamięć! A tak! Pamiętasz, oblałem cię winem! — śmiał się Burzymowski i otarł oczy, bo gdy się śmiał, zawsze prawie razem płakać był zmuszony.

— Twojego вина więcej było szkoda niż mojego fraka, — odparł Pokutyński, — wino było stare, wytrawne i doskonałe jak rzadko. Z takim winem jak za onych dobrych naszych czasów, dziś już się nie spotykamy. Burgund wszedł w modę, a *in quo nati sumus*, pocziwy węgrzyn zaniedbany. Mówią że dawał pedogrę! ba! za taki kordyał warto cierpieć było.

— U nas za kordonem — odezwał się prędko Burzymowski z wielką seryą — węgrzyn wcale nie zaniedbany, my szanujemy tradycje narodowe, a przytém Węgry o granicę!

Wybuchnął śmiechem Pokutyński, zaczęli się śmiać oba, znowu iza się natrętna zakręciła w oczach Burzymowskiemu, który ją spiesźnie ocierał tłustym kułakiem.

— Ale, cóżes ty tu na gościńcu robił? — zapytał Pokutyńskiego.

— Wymknąłem się od pijatyki i szedłem do

moich sanek, — odparł szambelan. — Dąbski z Kalinowskim, ich świadkowie Kwiński, Koszycki i Anizetka (Bieliński) jak poczęli solenizować zgodę, będą tu siedzieli do nocy, dopóki im tylko burgunda, a potem materyalów do ponczu stanie, ja zaś, rozstap się ziemio, *coute que coute*, powracać muszę, aby wieczorem być u pani jenerałowej Grabowskiej.

— No! ależ ci przecie nie tak pilno, abys dla mnie chwileczki nie poświęcił, — odezwał się blagającym głosem, biorąc za obie ręce Pokutyńskiego podróżny. — Zmiłuj się nad biednym wieśniakiem! Kto wie, czy ja cię złapię już w Warszawie, a okrutniebym od ciebie rad zasięgnąć języka... (Tu począł ciszéj.) Wybralem się na oślep! któż lepiej nad ciebie może mnie poinformować...

— Służę ci chętnie, — odezwał się Pokutyński. — Nawet koniec mojego automedona, jak widzę, nie dojadły jeszcze sieczki, którą ich poczęstował. Chodźmy do izby — chłodno.

— Zybek! Zybek! — ogromnym (umyślnie dla sług przeznaczonym) głosem, i to jeszcze przez kulak dla spotęgowania go, zawołał Burzymowski. — Zybek! a! żeby cię! Gdzież się ta bestya zaszyła już. Tylko co był i już świsnął. Zybek!

Na wołanie to, coraz niecierpliwszym powtarzane głosem, z karczmy wybiegł młody chłopak w kożuszynie i opończy na niéj, pędem wprost lecąc przestraszony na pana.

— Co jaśnie pan każe? co?

— Izba? Izba ciepła, słysz! izba czy jest? Potrzeba ich dwie, gamoniu! Mówilem ci, dla mnie jedna, druga dla panienki z Wojską!

— Jest! są! a jakże! — żywo, jaskając się od parł Zybek. — Właśnie smółką wykadzać kazałem, bo było trochę swędu.

— No, to chodźmy, kochany szambelanie, — zawolał Burzymowski, biorąc go pod rękę, — chodźmy! Mam z sobą prawdziwy gdański Goldwasser, powiadam ci jak oliwa, a na zakąskę piernik toruński. Jak moja Sylwia nadciągnie, to się tam i coś pożywniejszego znajdzie... Ale — kiedy ona nadciągnie!..

To mówiąc rękę do czoła przyłożył Burzymowski i długo przymrużonemi oczyma patrzył na pusty, zawiany gościniec, na którym, jak zarzec, żywej duszy widać nie było. Śnieg tylko leżał pogarbiony, a w nim gdzieniegdzie tkwiły krzewy czarne obrabiane śniegiem, nad którymi wrony się kracząc unosiły.

— Ale bo, powiadam ci, — ciągnął dalej, ku austeryi zwracając Burzymowski, — powiadam ci, z temi babami niewysłowione utrapienie! Nie można się było inaczej wybrać jak łandarą, węzełków, puzderek, skrzyneczek, pudeł, sepecików, zawiniątek, kuferków, tłumoków — bez liku. Śniegu około nas było niewiele, dopiero gdyśmy wyjechali, jak zaczął sypać, jak z rękawa! Trzeba

tedy było arkę Noego brać na gryndże, a teraz wlecze się to powoli, bo i ciężkie i wywrotne.

Wystaw sobie, ja lżej jadąc, zawsze prawie mam czas popaść nim one nadjadą. Skaranie Boże! Myślałem, że nigdy nie dociągniemy do Warszawy.

To mówiąc weszli do izby w austeryi, w której zapowiedziana przez chlopea smółka zmieszała się wprawdzie ze swędem i wonią cebuli zasadniczą, ale zapach jaki z trojga tego się wytworzył, nie był wcale przyjemny. Pokutyński, który już pewnie dawno wiejskiej karczmy nie wachał, zaraz na wstępie kichnął.

Tymczasem ów tak zwany Zybek, na dany znak pobiegł już był po puzderko, które w saniach u nóg pańskich stało. Szambelan wyki-chawszy się, rozwinął szal turecki, zdjął kape-lusik, rozpiął zielone futerko i usiadł za stołem naprzeciw dawnego towarzysza.

— A wiesz, — odczwał się do szlacheica, który już z kluczem około puzderka się krzątał, — że ty, słowo ci daję, wyśmienicie, doskonale, zdrowo jak rydz wyglądasz. Co to jest wieś! Powietrze zdrowe, jadło proste, naturalne a pożywne i ten szczęśliwy, arkadyjski spokój, którego wy sielankowi ludzie używacie.

Burzymowski, który miał właśnie do nst nieść kieliszek goldwassera i poczynął już owo sakra-mentalne:

— W ręce twoje, w gardło moje!

Zatrzymał się nagle, popatrzał naprzód seryo, pokręcił głową, uśmiechnął się i zawołał:

— A bodaj cię! Spokój! na wsi! Spokój u człowieka, który ma córkę dorosłą, a do tego jak anioł piękną i jak żywe srebro żwawą!

— No, córki takiej pozbędziesz się łatwo, — śmiejąc się i przyjmując kieliszek rzekł szambelan. — Panna piękna w matkę się wdać musiała, więc i w główce też dobrze! he?

(Nie rozważył Pokutyński, że niechcący powiedział impertynencyę. Szczęściem, poczciwy Burzymowski nie miał zwyczaju nie nigdy brać do siebie.)

— Fiu! fiu! — odparł żywo. — W główce! ale jak! ale jak! Rozum stary, spryt szalony! Toż bieda właśnie! Powiadam ci, lat... no, co tam lata liczyć... młoda, a swoją wolę musi mieć we wszystkiem, i — nie ustąpi.

Tu się postrzegł pan Stanisław, że może niepotrzebnie, nadto się o córce wygadał i natychmiast się poprawił.

— Ale, powiadam ci, jak anioł dobre dziecko. Jedynaczka, pieszczoszka, trochę fantazyjki musi mieć i niech ją ma!

— Nicch ma! to dobrze! kobiecie to uroku dodaje, — pospiesznie dokończył Pokutyński. — Ja ci winszuję takiej córki!

Zajadali właśnie toruńskim piernikiem, nad

który nie ma lepszego nie do odebrania apetytu, gdy Burzymowski klapnął po ramieniu starego przyjaciela.

— No, ale mówże ty mi, kochany, drogi szambelanie, co się u was dzieje? Wiesz że ja za kordonem mieszkam pod rakuskiem berłem, w Warszawie nie byłem od wieków! Chciałem Sylwię dla ekonomiki zawieźć do Lwowa, ale ani sposobu ją było do tego namówić. Lwów, to dziura! do Warszawy i do Warszawy!..

A tu — ta Warszawa — —

Westchnął ciężko Burzymowski i ciągnął dalej.

— Nie wiem czy ty to sobie przypominasz, że przez nieboszczkę matkę mojej Sylwki, jesteśmy bodaj w jakiejś kolligacyi z Tyszkiewiczami... Dziewczyzna nie w ciemną bita, musiała sobie namotać zawczasu, że albo przez hetmanową lub przez referendarzową wnijdzie w te koła, do których aspiruje, a na których wspomnienie mnie domatora, szlachetkę, hreczkosieja, aż dreszcze przechodzą!

Twarz okrągła, śmiejąca się pocziwego Burzymowskiego chmurą się oblekła.

— Cóż poradzić z młodemi? Jabym rad w prawo, ona ciągnie w lewo, a młodość zawsze silniejsza i nie chce się jęj psuć wesela, którego tyle co na zaraniu! (westchnął). Zobaczemyż co się tu u was święci... i... tego!..

Pokutyński przysłuchiwał się z uwagą wielką.

Po twarzy jego przebiegały uśmieszki różne, nie spieszył z odpowiedzią, kruszył i jadł piernik. Naiwny szlachciec, który mu się tak otworzyście spowiadał ze wszystkiego, obudzał w nim widocznie rodzaj politowania, do którego mieszało się nieco szyderstwa. Dawszy się wygadać przyjacielowi, spytał od niechcenia, unikając odpowiedzi na pytanie, co się dzieje w Warszawie.

— Zabawicie więc pewnie przez karnawał?

— Albo ja wiem! — zawołał Burzymowski. — Na karnawał, na post, na całą zimę może jedziemy. Jak się moja droga jedynaczka uprze siedzieć, nie będę się mógł ruszyć bodaj i rok cały!

Bo, proszę cię, jak tu dziecku odmówić? Skrzywi się, zasmuci — żal; zacznie prosić, przytulić się, najtwardsze serce, kamienne by zmięczyła. Ja, słowo ci daję, choć mam swoją wolę, o! i twardą! ho, ho!.. ale znowu dziecka własnego tyranizować nie mogę... to darmo!

— Masz słuszność, — rzekł z ironią dobrze zamaskowaną Pokutyński. — Jedna jest młodość, tyle jasnych dni w życiu, co ta odrobina młodości. Nie trzeba jój nikomu psuć.

— Otóż to jest! otóż to!.. Ja to samo zawsze powiadam, jedna młodość jest w życiu, — podchwycił Burzymowski, — niechaj się przynajmniej pobawi dopóki młoda!

— No, w Warszawie, przerwał żwawo szam-

belan, — w Warszawie na zabawach, *nom d'un nom*, zbywać wam nie będzie.

Pamiętasz mój drogi, ów nasz sławny sejm czteroletni? No, zdaje mi się, że Warszawy więcej ożywionej jak naówczas była, wyobrazić sobie trudno, a ja ci powiem, że dziś niemal tak ochoczo i gwarno się bawią, jak naówczas. *C'est tout dire!*

Burzymowski rękami strzepnął.

— Tamto było co innego! — zawołał. — Dziś, zamiast naszego dobrego, miłego pana, gospodaruje tam jakiś Jaśnie Wielmożny Gubernator pruski czy prezydent, czy jak go tam zowią, bo nie wiem, a zamiast naszej gwardyi stoi wojsko niemieckie w pluderkach i kamaszach, na które dosyć spojrzeć i posłyszeć jak szwargoczą, aby i apetyt i humor utracić.

— Eh! obyliśmy się z tym pocziwym Koehlerem, który jest nadzwyczaj gładkim i miłym człowiekiem, — odparł szambelan, — obyliśmy się i z tèm *Eins, zwei, drei!* Zresztą Niemców u nas jakoś ani słyszeć tak bardzo, ani widzieć — przypnęli.

Burzymowski niedowierzająco głową potrząsł.

— No, to musi być ich czuć przynajmniej, — rzekł nosem pokręcając. — Dajmy temu pokój. Wy macie jeden ich gatunek, my drugi, a dla mnie oni wszyscy djabła warci.

Po chwili dodał:

— A z familii królewskiej kogóż tam macie?

— No, starego księcia ex-podkomorzego, który się już bardzo posunął, — począł Pokutyński.

— Hm... I Truskolaską porzucił? — spytał szlachcic.

— O! dawno! — rozśmiał się Pokutyński, — choć nie ręczę, żeby ją jaka Józia nie zastępowała, bo on bez tego nigdy nie był.

— Stary bałamut! — ruszając ramionami mruknął Burzymowski. — I kogóż więc?

— Jest pani hetmanowa, no, i nasz książę Józef, gwiazda nasza! — zawołał Pokutyński z zapalem.

— A książę Józef, jakże? co? tego? hm? spytał Burzymowski, nie śmiejąc się wyrazić dobitniej.

Po chwili namysłu, Pokutyński zawsze w mowie oględny, odpowiedział zwolna cedząc.

— Książę Józef? Jakże ma być? tego... Na niego oczy Niemców zwrócone, boją się go jakoś instynktem, musi siedzieć i udawać; jakby go oprócz fatalaszek nie w świecie nie zajmowało. Lew śpi! pod Blachą u niego całe życie się skupia, z pod Blachy ono na miasto płynie. Musimy się bawić szalenie, aby nas nie posądzali że nam z Niemcami nie dobrze. Więc, pod Blachą nie, tylko wyrocznia mody i opinij. — Nie wiesz o tém?

— Słyszałem *praeter propter*, odezwał się Burzymowski — ale, to jest zawsze dom kawalerski, dla mężczyzn, a kobiety —

Pokutyński popatrzał nań długo, długo i rzekł od niechcenia.

— Kobiety przecie przyjmuje pani Tyszkiewiczowa, a gdy jęj niema (bo ona tu rzadko siedzi) — to jest przecie jęj przyjaciółka pani Vauban.

Posłyszawszy to imię szlacheie zdziwiony, stał dotąd długo niemy, i jakby wahał się wydać z niewiadomością swoją, wtrącił w końcu nieśmiało.

— Ale bo widzisz, mówilem ci że jestem z zakordonu. Jak? jak? Vauban? Vaubin? Cóż to za jedna?

Szambelan wydał usta, wziął próżny kieliszek w rękę, i zamiast patrzeć w oczy Burzymowskiemu, zmrużywszy jedno oko, przyglądał się długo kieliszkowi który był dosyć pięknie rzezany.

— Pani de Vauban, począł nareszcie bardzo wolno — pani de Vauban- hm — jakże by ci to powiedzieć? Jest to emigrantka francuzka, osoba wysokiego tonu, extra delikatnego zdrowia, extra wykwintnych sentymentów, — jest to przyjaciółka od serca pani Tyszkiewiczowej, która dla słabój konstytucyi, niedozwalającj jęj się narażać na częste a długie podróże, raz tu przybywszy z panią referendarzową — ot, tak została pod Blachą, oczekując na powrót przyjaciółki, a tymczasem za nią robi honory domu.

— *Quo titulo?* zapytał szlacheie natarczywy.

— Jakto! rzecz bardzo prosta! jako przyja-

ciółka siostry księcia, i — jako gospodyni domu który ma tylko gospodarza — rozumiesz?

Szlacheie głową kiwał z jakąś miną, jakby mu to jeszcze nie ze wszystkiém wydawało się jasném.

— Jakoś ja tego spełna, mierząc naszemi obyczajami, nierozumiem dobrze, odparł Burzymowski, albo ty figlarzu, *antiquo more*, kpisz sobie po prostu ze mnie.

— Uchowaj Boże! mówię ci prawdę najszczęrszą i rzecz tak jasną, odparł Pokutyński — tak naturalną, że nie pojmuję co w niej ciemnego znajdujesz.

Burzymowski w głowę się podrapał.

— A któż tam bywa pod tą Błachą? zapytał.

— Peli! wszysey, co do nogi i co do nóżeczki najarystokratyczniejszej — dodał Szambelan oprócz kilku starych kwok nudnych.

Burzymowski ręce zapakowawszy w kieszenie kapoty, chmurny i zadumany począł się po izbie przechadzać.

— Ta — Vauban — czy jak tam, ma męża? spytał odwracając się.

— A ma! pocziwy jakiś człek, przyjeżdża tu ją odwiedzać czasami. Francuz wielce utalentowany, gra w teatrze amatorskim, jak gdyby całe życie był z professyi artystą.

— Role mężów? spytał Burzymowski wciąż dumając.

— Mężów i kochanków nawet, dodał Pokutyński — *en perfection*.

Nastąpiło milezenie, wieśniak stanął i począł z nateżeniem w oczy patrzeć Pokutyńskiemu, który w końcu na głos się rozśmiał.

— Mówisz że wszyscy bywają pod Blachą? dodał szlachcic.

— Powtarzam, wszyscy! potwierdził Szambelan.

Burzymowski pozostał w zadumie, potem żywo do ucha przyskoczywszy Szambelanowi, coś mu pospiesznie szeptać zaczął.

— Albo ja wiem! odparł wolno Pokutyński co to do mnie należy!

Znowu Burzymowski chodził ze zwieszoną głową, i nierychło odezwał się jakby sam do siebie.

— Tandem tedy, moścudzieju, to tam jakieś pokrewieństwo nasze, a raczej Sylwki nie moje z Tyszkiewiczami, bardzo dalekie i dajmy na to że go i niema. Ja się wcale o nie upominać nie myślę, — wysokie progi na moje nogi. Są inne domy cichsze, nieksiążęce, które nam lepiej przystaną.

— Znajdziesz ich do wyboru ile zechcesz! ale kwiat i śmietanka zawsze nie gdzieindziej tylko pod Blachą — rzekł Pokutyński, — jest, czeigodna pani kasztelanowa Połaniecka, jest pani starościna krakowska, są państwo ex-Stolnikowstwo koronni, wielka mnogość różnorodnych Po-

tockich, naostatek i szanowny nasz Aristides, marszałek Małachowski, taki nudny jak i był.

— Ale proszę cię? podchwycił Burzymowski, i wszystko się to w kupie trzyma? Vanbany i Aristides, Wielopolska i Hetmanowa, Sołtyk i Blacha??

Pokutyński serdecznie śmiać się zaczął i nim się na odpowiedź zebrał, uściskał wprzód dobrodusznego szlachcica.

— Poczciwości ty moja! zawołał parszając — nie wszyscy żyją ze wszystkimi, trudno — ale się nikt z nikim nie kłóci. Ładźmy się z sobą jak możemy, przekonasz się, zobaczysz!

— No! tak, zobaczymy — rzekł Burzymowski kwaśno, bo go uścisk nie udobruchał, choć go oddał szambelanowi — zobaczymy, ale ja od ciebie, kochany kolego, jasnej, otwartej odpowiedzi i skazówki żądałem, a ty półgębkiem coś bąkasz, czego ja, sympliejusz, prostym szlacheckim rozumem pokombinować nie mogę.

Niewiadomo jakby się tym razem naciśnięty szambelan potrafił wykręcić ze dwuznaczną odpowiedzią, bo z twarzy jego widać było że nazbyt szczerym być nie myślał, gdyby, szczęściem dlań, w austeryi hałas nie powstał wielki.

Głosy w zajęczdzie posłyszawszy pocziwy Burzymowski rzucił się ku drzwiom pospiesznie, domyślając się niepłomie że córka jego przybyć musiała.

II.

Pokutyński za odchodzącym przyjacielem powiódł oczyma przymrużonemi, uśmieшек mu się przesunął po bladych ustach, zwolna wyciągnął rękę ku swemu szalowi tureckiemu, jakby w zamiarze zawiązania go znowu, gdy drzwi otwarły się szeroko i Burzymowski z twarzą rozpromienioną i tryumfującą wprowadził swą jedynaczkę, za którą tuż szła pani Wojska Czeżewska, towarzyszka jej i krewna, pospolicie ciocią dla krótkości nazywana, chociaż ściśle wzięwszy, do tytułu tego żadnego prawa nie miała.

Pokutyński chociaż weale już młodym nie był człowiekiem, galantem jednak dla dam być nie przestał, a choćby nim i nie był, zjawienie się istoty tak ślicznej jak panna Sylwia, musiało na

nim i na każdym najostyglejším uczynić pewne wrażenie.

Nie zbywało naówczas Warszawie na znakomitych pięknościach niewieścich, — na których nie brak jej nigdy; pań i panien cudnie urodziwych było mnóstwo, począwszy od księżniczki Anieli Radziwillówny, i panny Teressy Kiekić (w którą kochał się książę Adam Czartoryski), Laury Potockiej i wielu a wielu innych, aż do niemłodej już, ale zawsze jeszcze uroczą piękną, niegdys przez Trębeckiego opiewaną Kossowską.

Pomimo nawyknienia do widoku tych promieniających obliczów, Pokutyński uznał w duchu że panna Sylwia Burzymowska mogła śmiało stanąć w ich kole, i bodaj o lepszą walczyć z nimi. Spojrzał na nią gdy zaslonę i chustkę zdejmowała z dziecinną, naiwną zalotnością zbliżając się ku niemu, i — prawie osłupiał.

Spodziewał się nieszeptnej sobie, wiejskiej, rumianej, zdrowej i wesołej dziewczeczki z okrągłą twarzyczką ojcowską, ale nie takiego cudu!

Panna Sylwestra, którą matka jeszcze eufonicznie na Sylwię przechrzcila, bo imiona romantycznie piękno brzmiące były naówczas w modzie — miała wszystkie warunki wymagane od niewieściej piękności; — wzrost, kibić zręczną i gibką, wdzięk naturalny ruchów, który ją nie kosztował i wyuczony nie był, twarz cudnego blasku i wyrazu, tryskającą życiem, oczy zabój-

cze, ogniste, napastliwe, płeć nieporównanej świeżości, włosy prześliczne, ząbki perłowe, a do tego wszystkiego w dodatku śmiałość wiejską rozpieszczanego dziecięcia, załotność niewinną, pojętność wielką i żywość.

Tak jak na pocziwego ojca twarzy cały się Burzymowski małował; u córki też dusza mówiła przez oczy. Można było zaręczyć, nim otworzyła usta, że się odezwie dowcipnie, wesoło, roztropnie i nieda niczem się onieśmielić, nie nastraszy niczego. Błask jej wzroku zmieszał niemal nawet starego i ośmielonego Pokutyńskiego; zdawało mu się iż wprost do duszy jego zajrzała.

Pierwszą myślą jego było — że choć Warszawianką się nie urodziła, natura ją uczyniła czyściej wody Warszawianką.

Samowolne dziewczę, wychowane na wsi, w domu w którym nawykło królować, było tak pewnem siebie, jakby mu wszędzie na świecie należało papowanie. Zbliżyło się do szambelana Pokutyńskiego nieokazując najmniejszego, nawet przelotnego pomieszanania.

Ciocia, pani Wojska Czeżewska, która niegdyś zachwyciła była trochę lepszego towarzysztwa i — jak mawiała, bywała na wielkiem świecie, a później zardzewiała na wsi, miała ton i manieri przestarzałej elegantki i śmieszłą nieco wymuszoność a krygi. Resztki niedogasłej piękności, zaledwie już dostrzeżone, pielegnowała dą

zbytku starannie, ruchy miała teatralne; pamięć zbytnia o sobie w tym wieku, sentymentalizm przestarzały, nadawały jęj nieco karykaturalną postać.

Ojciec właśnie przedstawiał szambelanowi córkę, a córce Pokutyńskiego, jako najlepszego przyjaciela młodości, razem prezentując go pani Wojskiej, która z bardzo poważną miną, wielce uroczystym witała go dygiem; gdy Sylwia zawołała żywo:

— A! panie szambelanie, czyż nawet do Warszawy lepszych dróg niema? Myślałam że ojca nigdy nie dogonimy! Włókłyśmy się z rozpaczliwą, żółwią powolnością, konie szły jak w pługu! A, co to za droga! co za droga! nigdy jęj w życiu nie zapomnę!

To mówiąc już oczyma badała całą postać starcego szambelana, który nawzajem pilno i z nie-tajoną rozkoszą, wpatrywał się w ten śliczny kwiatuszek, nie mogąc widokiem jego nacieszyć.

Wrażenie jakie na nim Sylwia uczyniła, tak się w twarzy jego odmalowało dobitnie, że panna się zarumieniła. Nie żeby ją to zakłopotalo, lecz owszem, że to jęj uczyniło przyjemność. Milo jęj było hołdy odbierać, tak jakoś, — czuła że się jęj one z łaski Bożęj należą.

Starym obyczajem Stanisławowskiego dworu, Pokutyński musiał rozpocząć od cukrowanego komplementu.

— Ja tedy, rzekł uśmiejąc się — będę tak szczęśliwym iż pierwszy zwiastuję w Warszawie o zjawieniu się nowej, jasnej gwiazdy na jej niebie.

Burzymowski posłyszawszy to, aż poskoczył. Chwycił go za rękę niemal z przestachem.

— Człecz! przyjacielu — szambelanie! Pokutynsiu! krzyknął — na rany pańskie, zlituj się, nikomu tylko o nas nie mów! nie oznajmuj! nie zwiastuj. Proszę, błagam, zaklinam o to! Nie wiemy jeszcze wcale jak się urządzimy, gdzie i jak bywać mamy, gdzie niebywać... Zmiłuj się! zlituj!

Pannę to wcale jakoś nie nastraszyło, rozśmiała się tylko. Niewiadomo z szambelana komplementu czy z ojca przestachu.

— O! o! zawołała śmiało głosem dzwicznym, w którym grało życie — na gwiazdzistym niebie Warszawy, ja chyba będę niezgrabnym obłoczkiem — prosta sobie biedna wieśniaczka!

Przyznaję się panu szambelanowi, że z nicmałym jadę strachem, z ogromną ciekawością — no, i z ochotą bawienia się i wybawienia za wszystkie czasy!

Ojciec słuchając, twarzą robił najdziwniejsze miny, Sylwia z ukosa nań rzuciła oczkiem, ale kwaśnego i zakłopotanego usposobienia nie chciała wcale zrozumieć. czy brać do serca.

— A! nie uwierysz pan — ciągnęła dalej, jak tam u nas za kordonem aus'ryackim smutno i nudno. Warszawa, choć pod Prusakami, zawsze Warszawą.

— Mogę pani zaręczyć — przerwał Pokutyński, że jest tak świetną jak tylko z prusakami być może, którzy nam nie przeszkadzają się weselić, a my korzystamy z tego ufając w Boga, że kiedyś oni ustąpić muszą.

— No — i bawią się tam wesoło! wesoło! nieprawdaż? dodało dziewczę naiwnie — A! proszę pana się nie śmiać ze mnie, że ja tak nieustannie o zabawach mówię! Ja się sama tego wstydzę, wiem że nam wesołość dziś nie do twarzy, ale taka jestem biedna z tém moim trzpiotowstwem dzieciinném — nieumiem inną być! I zalamala rączki, a ślicznie jęł z tém było.

— Ah! niemasz się pani czego wstydzić — żwawo wtrącił szambelan. My starzy szukamy zapomnienia biedy w zabawach, cóż dopiero młodzież, dla której one są żywiołem jak powietrze i woda?

W Warszawie znajdziesz pani wszelkie rodzaje zabaw i rozrywek, jakie sobie tylko wyobrazić można — na rozkazy, do wyboru!! na skinienie! Młodzież męzka i żeńska najlepszego tonu, wszystkie światy i sfery, jakich kto zapragnie.

Mamy świat *par excellence* najwytworniejszy, francuzki, paryzki, samą *crème* emigracyi; mamy krajową jego imitacyę doskonałą, świat staro-

polski z niebardzo jeszcze wyszarzanymi kontuszami, a trochę zbutwiałemi ideami; świat niemiecki Koehlerów i Hoymów zaperfumowany francuszczyzną a cuchnący biurokracją, naostatek młody światek — wojsko nieregularne wielkiej nadziei — !

Piękna Sylwia słuchając trochę dowieipkującego już dla przypodobania się jęj szambelana, aż w rączki plaskala z radości, śmiejąc się dość wesolo, co zmusiło panią Wojskę do wstydliwego spuszczenia oczów, gdyż tę swobodę uważała za wielką nieprzyzwoitość i sromowała się za swą wychowankę.

Stary Burzymowski także nie bardzo być rad musiał ze znalezienia się córki i stał frasośliwy to głowę gladząc, to odchrząkując znacząco, to smutnie spoglądając na swe zapyłone buty. Twarz mu chmurniała, oczyma zdawał się chcieć do zrozumienia dawać Pokutyńskiemu, ażeby się z malowidłem Warszawy niekoniecznie rozpościerał tak szeroko. Szambelan zaś był pod tak silnym wrażeniem piękności panny, że dla nięj gotów był względem przyjaciela dopuścić się nieposłuszeństwa i zdrady.

Rozmowa zaczynała się coraz swobodnięj rozwijać, bo Sylwia zawojowawszy od razu szambelana, chciała z niego wyciągnąć wszystkie jęj potrzebne wiadomości, których była spragnioną — a czuła już — że Pokutyński musi jęj być posłu-

sznym — gdy — z dala dały się słyszeć śpiewy jakiegoś osobliwego rodzaju.

Nie był to ani śpiew żydów, obchodzących swe nabożeństwo, ani hukanie napitych wieśniaków; żaden z tych dwu rodzajów, jakich w karczmie się spodziewać było można, ale coś extraordynaryjnego, dziwnie niesfor nego, krzykliwego, zuchwałego, hałaśliwego, junackiego, zmięszanego z pieśni, wrzasku i śmiechu.

W izbie karczemnej nastało milczenie, wszyscy się przysłuchiwali z podziwieniem i niejaką trwogą. Jeden może Pokutyński domyślał się co to być mogło, brwi podciągnął do góry, drgnął usta zakąślił.

Panna Sylwia, którą nie ustraszyć nie mogło, śmiała się — rada już i tej jakiegóż niespodziance. Wojska miała minę wystraszoną, Burzymowski zdumiewał się i głową kręcił, okazując niepokój, zwłaszcza że śpiew ten coraz dobitniej, wyraźniej, głośniej począł się przysuwać, zbliżać, naostatek zabrzmiał w sieniach i rozszedł się po nich echem szeroki.

Niedość na tém, przysunął się pod same już drzwi, które się nagle z wielkim łoskotem otwarły.

Kilkunastu młodych i średniego wieku mężczyzn, z twarzami mocno zarumienionymi, w strojach najrozmaitszych, począwszy od kurtki z liśami do taratutki i fraka, stało w progu z kielichami w ręku.

Wszyscy byli pod tęą datą, rozochoceni, rozgorączkowani. Pieśń pospolita, dawna, znana już z samej nuty swój, brzmiała niezgodnemi głosy:

A kto nie wypije,
Tego we dwa kije.
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije!

Teżyzna ta, bo tak wówczas zwano hulaków, niespodziewała się pewnie spotkać z kobietami, gdyż zobaczywszy je, nagle śpiewać przestała, czapki się niektóre podnosić zaczęły.

Była chwila namysłu i zgryzot sumienia.

Wtém mężczyzna ogromnego wzrostu, twarzy butnej i zuchwałej, ruchów żołnierskich a rubasznych, stojący na przodzie, krzyknął głosem donośnym.

— Szambelan Pokutyński, dezterter, prosimy o wydanie go w ręce sprawiedliwości! — Powiedziano jest w prawie pruskiem, ruskiem i mazowieckiem, że kto przechownje deztertera, podpada tēj karze co on sam!

Towarzysze mówcy przypatrując się z ciekawością niezmierną pięknej Sylwii, szeptali coś żwawo do uszu jeden drugiemu. Burzymowski rozdrażniony wása już nie kręcił ale go darł.

Z dała za tą gromadką z kielichami, widać było żydów, włościan, furmanów, gawiedź wszelaką, która się zbiegła przypatrzeć tej osobliwej proccsyi. Zybek, stworzenie ciekawe niepomier-

nie, między nich się wcisnąwszy prawie, śmiał się tak że aż przysiadł.

— Prosimy o przebaczenie, ciągnął dalej olbrzym ów innym przodujący, który był nie kim innym tylko sławnym Dąbskim — nie wiedzieliśmy o obecności dam, a niewiadomość, jak wiadomo, grzechu nie czyni. Bądź co bądź niewieście robrony, choć za szance służyć mogą, nie dają *droit d'asy'e*. Dezertera się domagamy, nieodzwonie!

Wtém cała gromadka hucznie zawtorowała za mówcą.

— Dezertera! Dezertera!

A jeden zanucił.

— *Et caetera! et caetera!*

Obudziło to śmiech powszechny. Wojska Czerwiska nie cierpiąca scen grubiańskich, przerażona tém najściem gwałtowném, nad wyraz wszelki, zobaczyła szczęściem drzwi do drugiej izby otwarte, i pociągnawszy Sylwię za sobą, zniknęła drzwi natychmiast ryglując, bo — za nie ręczyć nie można było! Trzęsła się jak w febrze..., powtarzając.

— A cóż to za grubiaństwo!

Oddalenie się kobiet, oswobodziło je wprawy od zuchwałych wejrzeń, ale położenie samotnionego Burzymowskiego uczyniło nieskończenie trudniejszém.

Mówca bowiem, widząc że mężczyźni pozo-

stali sami, nie wahał się już wkroczyć do izby ze szklanką w rękę, a towarzysze jego nieodstępni, żwawo poszli za wodzem w ślady. Szlachcie znalazł się otoczony, ściśnięty przez tę młodzież junacką, która na nim nader przykre czyniła wrażenie, choć własną mu przeszłość przypominać mogła.

Goście przybywający pod hełmem, nawykli przytęmi do łatwego robienia znajomości u kieliszka, znęcani cudnie piękną twarzą, której pokrewieństwa blizkiego z okrągłym szlachcicem łatwo się było domyślić — posuneli się rewindykować deczterę, ale razem przedstawili się po kolei Burzymowskiemu i — *stante pede*, pili już jego zdrowie.

Szlachcie, jakśmy mówili, miał od natury dane serce miękkie, nierad był uchybić nikomu, więc choć zły, starał się być nieczmiernie grzecznym. Przyjmował uściski rąk i całusy, wywzajemniając się z coraz większą serdecznością wieśniaczą. Ogólne usposobienie powoli nań oddziaływało. — Uśmiechał się.

Słyszał było cmokania i nazwiska, a w przestankach Burzymowskiego wykrzykiunki.

— Ale — mój mości dobrodzieju...

Zbytek łaski.

— Nadzwyczaj mi przyjemnie.

— Nóżki asandzieja całuję i t. p.

Szambelan Pokutyński, widząc że z jego po-

wodu szlachcie był w nader kłopotliwym położeniu, zmiarkował że go inaczej nie ocali jak poświęcając się za towarzysza, wziął więc swój szal i miał się do wyjścia.

— No, więc kiedy każecie, — zawolał — idę z wami, wypiję za zdrowie wasze, ale warnię sobie że mnie zaraz potem wypuścicie, bo na wieczery u Grabowskiej muszę być — słowo wam daję — mnszę.

Ogromny mężczyzna, sławny zawadya Dąbski, vulgo *Dąb*, przez innych *Klocem* zwany, nie zaspokoił się tem i zwrócił nśmiechając się do Brzymowskiego.

— Mój mości dobrodzieju, — rzekł z patetycznością umyślnie przesadzoną — spodziewam się, że nam tój inwazyi na swe terytoryum za złe mieć nie będziesz, a na dowód że rankoru do nas nie masz, nie odmówisz z nami o trzy kroki do oficyny, na szklankę ponczyku — *ut sic!* Powiadam ci, złoty panie, ponczyk jaki ja tylko robić umiem — bez kropelki wody. Delicye! Oblizywać się po nim! Jeżeli ci iść trudno, obywatelu, dla przyjemnej okągłości swej, my cię na rękach zaniesiemy! Uczyni nam ten honor i przyjemność — daj dowód że cesarz austryjacki sprzyja królowi pruskiemu, którego my tu reprezentujemy, inaczej konsekwencyje okropne, wojny, rzezie, pożogi!

W razie gdybyś był głodnym, a tu czekał na

jajecznicę, ja tam ci ręczę za kawalek huzarskiej pieczeni, która już musi być gotowa — i — z cybulą!

Hej, mopanie! Cygan się dał dla kompanii powiesić!

— Ale dajcież mu pokój, z córką jedzie, z kobietami, pilno mu jest — zawołał Pokutyński stając w obronie.

— Milczalbyś! nie masz głosu! — odparł Dąbski impetycznie. — Jeżeli o niewiasty idzie, dwu z nas gotowi wartę dla ich bezpieczeństwa zaciągnąć! Nie konfiskujemy go na wiekiście czasy, za pół godziny cały i zdrow powróci, ogrzany ponczem i odżywiony pieczenią — w dobrem towarzystwie. Panna spocznie, a gdyby zmierzchło, gotowiśmy około sanek jako salwe gwardyja towarzyszyć do Warszawy!!!

Burzymowski spotniał aż od tego srogiego ntrapienia, kręcił się, kłaniał, zacierał ręce, tymczasem, na znak przez wodza dany, Kwiński i Anizetka już go pochwycili grzecznie pod ramiona.

Opierać się nie było sposobu. *Nec Hercules contra plures*. Koszycki nsluźnie już mu czapkę jego z uszami nakładał w ten sposób, iż oczy zasunął, Kalinowski ku drzwiom z kielichem kroczył, ani przypuszczając nawet aby się szlachcie śmiał i mógł im oprzeć.

Burzymowski sam czuł, że tej łaskawości nie

będzie mógł uniknąć, zawołał więc tylko błagając.

— Zmilujcie się, panowie, niech tylko słówko powiem córcie, bo będzie o mnie niespokojna!

— Zgoda! wracaj pan zaraz, my nieopuszczając terytorium — czekamy! — zawołał Dąbski.

Puszczono go do drogiej izby, którą na zapukanie, drżąca Wojska odryglowała, a gdy powrócił, wzięto go pod ręce znowu i — *processionaliter*, jak przybyli, nuciąc śpiew wszyscy pociągnęli, wybierając gdzie był najgłębszy śnieg, do ofieyn palacowych. Pokutyński i szlachcie musieli iść w pośrodku, jak więźniowie i winowajcy.

Raz już popadłszy w towarzystwo zawadyaków, Burzymowski usiłował się do niego nastroić, być wesolym i serdecznym, choć na twarz mu wystąpiły marszczki a w duszy po stokroć przeklinał spotkanie swoje z Pokutyńskim i niepotrzebne odezwanie się do niego.

W istocie położenie ojca pięknej Sylwii nie było do zazdrości. Pragnął ją ustrzedz od zetknięcia się ze światem roztrzęsionym i rozpasanym, a wpadł od razu pomiędzy młodzież najszaleńszą, rozbulaną i nierespektną nie w świecie. Musiał się z nią całować, ścisnąć i zawiązywać uciążliwe na przyszłość stosunki. Wszyscy ci panowie, wypisawszy jego zdrowie, mieli prawo odzywać się potem do znajomości, weiskać się do domu, zapraszać się do niego, a jego ciągnąć do siebie.

Tkwiła mu też w głowie Blacha i pani Vauban, a wystawiał sobie, że ta ciężka do obozu księcia Józefa należeć musiała, choć w istocie tak nie było.

Struł go Pokutyński półsłówkami o towarzystwie pod Blachą, a tu nowe strachy przynosiła znajomość tak niebezpiecznej młodzieży.

Z temi sztyletami w sercu trzeba się było śmiać, weselić, na dowcipy odpowiadać i udawać wiele uszczęśliwionego.

Najwięcej jednak frasowała go Blacha, z tą jakąś wielce podejrzaną panią Vauban! Jak tu było się z tego przed Sylwią wykręcić, aby tam nie zaglądać, nie przypominać się koligacyi, nie zawiązywać stosunków i pozostać na boku.

Burzymowski miał wielką cześć dla nieboszczyka króla, który go zrobił szambelanem i dał mu order; miał cześć dla całej jego rodziny, zatem i dla synowca — a mimo to, córki teraz pod Blachę wprowadzić sobie nie życzyl. Po głowie mu chodziło, że go ta pocziwa, nieopatrzna Sylwia zmusić może. — Znał swą słabość dla niej i powtarzał w duchu:

— O'la Boga! O'la Boga! co ja tu pocznę! Po co mi tu jechać było!

Myśłami temi skrepowany, dostał się do oficy.

Wprowadzono go tu uroczyście do wielkiej izby, w środku której stał stół na pół obrusem

pooblewany już okryty i jak mappa wyglądającym, zastawiony opróżnionemi butelkami, powywracanemi szklankami, przyozdobiony wazą do ponczu przygotowaną. U podstawy jej leżały bryły cukru, stos pomarańcz i cytryn.

Mimo tych myśli zgryźliwych i ciężkości jaką na sercu doznawał, Burzymowski był szlachcicem kość z kości naszych; wpadłszy między wrony, musiał krakać jak i ony.

Rozweselił się natychmiast i rozdobruchał, biedę zawieszając na kolku, do jutra. Posadzono go na miejscu honorowem, ponowiono zdrowie, ściskając i całując *iterum iterumque*. Co miał robić! Na czezy żołądek po podróży (bo goldwasser z piernikiem dawno zapomniane zostały) wlał duszkiem szklankę ponczu jak spirytus mocnego. Nalano mu drugą, której odmówić nie mógł, zwłaszcza że przedziwnie smakował, zatarł czuba, zapomniał niemal gdzie był i jak się tu dostał. — Słuchał tłustych dykteryjek i śmiejąc się walał nogą w podłogę, bił się po kolanach, lapał za głowę, przysiadał, podskakiwał, jakby za dobrych starych czasów sejmu czteroletniego.

On z nich, oni z niego byli bardzo szczęśliwi.

Lndzie mu się wprawdzie wydawali zamasyści nad miarę, butni i zawadyje, ale po ponczu byłby już przysięgał, że serce mieli złote lub diamentowe. Coraz to czuł potrzebę ich ściskać, potem ręce za pas zakładał, pokrzykiwał wesoło,

sam się nawet junaczył, aby do ich tonu do-
stroić siarczyście.

Trwało to dopóty, dopóki, podpiwszy jeszcze
lepiej, nie zaczęli kawalerowie rozpowiadać o
swych miłostkach. Kalinowski był właśnie *in*
tractu wykradania panny Protówny Potockiej,
inni się przechwalali jak zręcznie zawiązywali
intrygi, przesyłali bileciki, ujmowali sługi, korzy-
stali z redut, kasyna i przejażdżek do Mokotowa
i Młocin.

Burzymowski uśmiechał się wprowadzie słucha-
jąc przez grzeczność, ale ciarki po nim przecho-
dziły. To co tu spotykało innych, jemu też i jego
najdroższej jedynaczce mogło się przytrafić.

Wprowadzie dowiadywał się tajemnie i naby-
wał doświadczenia na jakich drogach trzeba się
mu było pilnować, lecz zarazem drżał, wyrzuca-
jąc sobie, że dobrowolnie popadł w tak straszne
niebezpieczeństwo.

Przyklaskiwał wiskusom przechwalającym się
z temi sprawkami, niemogąc okazać swego obu-
rzenia, choć kłął ich w dnie. Ponecz, który mu
był w głowie zaszumiał, pod wrażeniem tych stra-
szliwych rewelacyj, ulotnił się.

Pochlebiał sobie, że nikt na twarzy jego nie
wyczyta niepokoju i frasunku jaki go opanował,
choć Pokutyński uśmiechał się zdala widząc
mieniającą się twarz szlachcica. Radby był co naj-
rychlej opuścić to towarzystwo, ale przyrzeczonej

pieczeni luzarskiej z cybulą czekać mu kazano, a tymczasem historye pięknych pań i panien, z komentarzami tłustemi, sypały się z przerażającą obfitością szczegółów.

— Sodoma i Gomorra! — powtarzał w duchu Burzymowski — otom wpadł! otom wpadł!

Zapomniał biedak, żecale nie lepiej za jego czasów bywało, lecz — szło mu o najdroższe dziecko.

Po długiej męczarni, którą z uśmiechem zmuszony był znosić pan Stanisław, wniesiono na ostatek pieczeń luzarską i jeszcze burgunda, wyproszonego u Rządzczy książęcego pana Hofmana, który od piwnicy pańkiej miał klucze. Pieczeń dla głodnego miała pewien nrok, przysmażona cybulka woniała przedziwnie; zatarło to na chwilę przykre wrażenia, bo żołądek ma prawa swoje. Ze szklankami wina Burzymowski roztargniony nie liczył się wcale — boć, na frasunek dobry trunek, i, co miał do osieroconej córki pośpieszać, dał się wstrzymywać, siedział, sam już nie wiedział dla czego.

Rozgał się w końcu daleko więcej niż był powinien: Ichmość, co go przyjmowali, dobyli z niego co chcieli, pokumali się z nim poufale, jak z dobrym kolegą, i gdy nareszcie Pokutyński, daleko od niego ostrożniejszy i trzeźwiejszy wyciągnął go, Burzymowski tak się pożegnał ze wszystkiemi serdecznie, jakby nazajutrz miał po-

dzielać ich płochy żywot i wnijsć w ich obyczaje.

Trwało to usposobienie jednak nie dłużej jak do progu austeryi. Tu widok córki wznowił uczucia niebezpieczeństwa i strachu. Konie natychmiast kazał zaprzęgać, aby salwe-gwardyi uniknąć, i — ruszono. Pożegnawszy Pokutyńskiego, Burzymowski przy pomocy Zybka wdrapał się do swoich sanek — i tu — sam na sam z pamięcią, sumieniem i myślami czarnemi, począł się gryść, boleć, wyrzuty sobie czynić okrutne.

Poncz i burgund ulciały na wolnem powietrzu, został tylko po nich ból głowy ciężki i smutne przeczucia.

— Śliczne porobiłem znajomości! nie ma co mówić! — szeptał sam do siebie — początek co się zowie! Ale, rozumny człek powinien ze wszystkiego korzystać. — Wiem teraz jak się pilnować, jak opędzać i nie nie ujdzie mojego oka!

Zjedzą licha, żeby mi się wdarli do domu — mimo mej woli i wiedzy, albo potajemnie zawiązali stosunki. — Najgorsza rzecz ma jeszcze dobrą swą stronę dla — człowieka z głową!

Czuł Burzymowski, że sam sobie tego piwa nawarzył; usiłował więc przekonać siebie, iż z tego waru nie złego wyniknąć nie może. Nie pierwszy to raz trafiało mu się baka wystrzelić; w takich wypadkach brał zawsze na rozum „trutynował“ jak powiadał, a nie uspokoił się dopóki

nie dowiódł sobie, że on nie jest winien w najmniejszej rzeczy, ale skład okoliczności nieuniknionych.

Na ten raz w istocie okoliczności się przyczyniły wiele do obrotu sprawy. Na widok Pokutyńskiego nie mógł nie wykrzyknąć! a niepodobna było przewidzieć, że ów szambelan sam jeden pociągnie za sobą do austeryi całą gromadę zuchwalców. Gdyby ci ichmość, którzy wtargnęli tak obcesowo, byli trzeźwi, Burzymowski mógłby się był wymówić od wycieczki do oficyny — z podełmielonymi, a prawdę mówiąc pijanemi, trudno się było klócić, opierać, aby nie wywołać awantury. Więc, dla milego spokoju pójść musiał, a poszedłszy pić, a podpiwszy całować się, a całując słuchać konfidencyi *et sic porro*.

Burzymowski tak czuł zawsze, iż mu sumienie słabość wyrzucać może, że za każdym jej dowodem, póty rozumował, trutynował, sofistykował dopóki nie doszedł do pożądanego wniosku iż — dał oznakę siły a nie miękkości charakteru.

Za żywota nieboszczki małżonki, osoby żywěj, lubiącej zabawy i towarzystwo, trochę zalotnej (drudzy mówili że bardzo) — pan Stanisław siedział pod pantoflem, lecz z mocnem przekonaniem, iż żonie imponuje i to tylko robi co chce. Z pod berła nieboszczki przeszedł, prawie bez interre-

gnum, pod regiment córki ukochaanej, akomodował się też i pani Wojskiej Czeżewskiej, tak jak w ogóle przez jakąś wrodzoną ducha opieszałość, skłonny był zawsze dawać nad sobą przewagę nawet Zybkwowi i arendarzowi w Burzymowie. Krzyczał czasem bardzo głośno, objawiał wolę swą stanowczo i dobitnie, bił pięścią w stół, miał się nawet za człowieka surowego, trzymającego wszystkich w rygorze trochę za ostrym — tymczasem śmiano się z niego po cichu i kierował nim kto chciał. Było mu z tem lżej i wygodniej.

Gdy okoliczności zmuszały go czasem do samostaniejszego kroku, znajdował się w najdrażliwszem położeniu; — nie ufał sobie, szukał niespokojnie rady, żądał konfirmaeyi, udawał się o nią tam nawet gdzie było najtrudniej wyszukać. — Spowiadał się z biedy Zybkwowi, klucznicy, pani Wojskiej, w ostatku chwytając czyjeś zdanie, pierwsze lepsze, byle się zbyć trapiącej go niepewności i nie pozostać odosobnionym z własnem.

Wybór z dwojga był dlań tak trudnym, iż gdy zmuszony był go uczynić, ciągnął potajemnie węzelki, albo w palce stukał. Nie był to brak intelligencyi, bo Burzymowski wszystkie możliwe skutki każdego możliwego postępku obrachowywał szybko i z łatwością, lecz gdy widma następstw stanęły przed nim — nie umiał uczynić wyboru. Panowanie pięknej Sylwii nad miłującym ją ojcem, rozpoczęło się zawczasie; ojciec

wierzył w rozum jej i zdolności nadzwyczajne jak w ewangelią. Władza jej już teraz była ustaloną i — córka robiła co chciała.

Ona to z Burzymowa, zamiast do Lwowa, zmusiła go jechać do Warszawy, ona pierwsza odgrzebała tę jakąś kolligacyą z Tyszkiewiczami, która ją miała do wyższych sfer towarzystwa doprowadzić. Oprócz tego pamięć pięknej, dowcipnej, bardzo na wielkim świecie znanej pani szambelanowej nieboszczki, było dla Sylwii, wielkie do niej mającej podobieństwo, rodzajem polecenia i pasportu.

O tych marzeniach córki wiedział dobrze Burzymowski, bo mn się z nich spowiadała; niepokoiły go one teraz więcej niż przed tem — zmuszony był im się przeciwieć, tamować, a z jedy-naczką do boju stanąć, mimo powagi swej ojco-wskiej, ani mógł myśleć.

Pobiłaby go zawsze uśmiechem, przymileniem się, pocałunkiem, a naostatek łzami.

Niestety — podobnym był wielce do kokoszy która wysiedziała kaczątko, musiał stojąc nad wodą gdakać tylko na losy.

Przez całą drogę do Warszawy szambelan to się modlił, to drżemał, to różne sobie osnuwał doskonale plany i projekta.

Rad był wielce mieć do ich spełnienia aljanta w pani Wojskiej Czeżewskiej, ale na to — nie-stety, czuł że wiele rachować nie było można.

Najprzód że Sylwia wiele jej nie słuchała, a ona jej rozkazywać nie śmiała, powtórę że pani Wojska w formach wyższego towarzystwa tak była rozkochana, iż poza niemi, olśniona, nie droższego dojrzeć nie mogła. To co one okrywały złem się jej nigdy nie wydawało. Dla Wojskiej sama perspektywa wniknięcia we francuski świat Warszawy za pomocą Sylwii, u jej boku, było najwyższem szczęściem. Nie rachowała się z tem czem mogła je okupić, byle się znowu znaleźć wśród grona tych dystygowanych, utytułowanych pań i panów, których panięć jak relikwii przechowywała na dnie serca.

Pani Wojska ślicznie mówiła po francusku, w młodości lat kilka spędziwszy z jedną z Lubomirskich w Paryżu. W Burzymowie tylko z Sylwią mogła się posługiwać tym językiem, którym daleko lepiej niż własnym władała, językiem naówczas jak dziś zastępującym wszelkie inne kwalifikacye do salonu.

W czasie do którego się to opowiadanie odnosi, napływ francuskiej emigracyi, dla której sympatya w wyższych sferach towarzystwa była niezmierna, bardziej jeszcze francuszczyznę rozpowszechnił. Gdziekolwiek w salonie znalazł się emigrant francuz, inaczej jak jego językiem odzywać się nie było wolno, a bardzo mało salonów tej ozdoby, o której zdobycie starano się najusilniej, pozbawionych było.

W otoczeniu księcia Józefa, pod Blachą, mówiono, zabawiano się, grywano teatr, pisano *de-wizy*, tylko po francusku. Mało domów znajdowało się w Warszawie, w którychby język polski posłyszeć było można gdzieindziej jak w przedpokoju.

U pani Lanckorońskiej kasztelanowej Połanieckiej, u pani z Potockich Wielopolskiej starościны krakowskiej, u Soltyków i — prawie nigdzie więcej. Dwa czy trzy stare kontusze zostało na całą Warszawę, między innymi ex-koniuszego Kieckiego i Badeniego. — Poczciwy Burzymowski, choć szambelan królewski — co podobno zarówno z orderem, winien był wpływowi żony, mówił po francusku nieosobliwie (naprawdę, bardzo źle) i z wielką trudnością. Późno się do tego wziął a do języków w ogóle zdolności nie miał.

Wyśmiewano się z niego nawet, że raz na zapytanie króla, gdy zapukał do jego gabinetu.

— *Qui est là ?*

Miał mu odpowiedzieć :

— *Je, Chambellan Burzymowski.*

I dla języka więc czysto francuskiego salony Warszawy powabu dlań nie miały. — Obawiał się być wyśmianym jak niegdyś, gdy rozprawiając z p. de Cachè o potęgach europejskich, nazwał je — *les potences de l'Europe*. Wiedział też że w tych salonach zabawiano się w miłostki, snuto nieustannie intrygi, przygotowywano wykradze-

nia, wyzywano się do pojedynków. Wszystko to serce jego ojcowskie nappełniało obawą, bo w córce widział jedną z tych piękności, na które dosyć było spojrzeć, aby być oczarowanym.

Przerażała go ta przyszłość, którą on sobie (albo raczej którą mu okoliczności) zgotowały. Co niepokojów, ile kłopotów i troski, jakiego czuwania potrzeba było, jak wytrawnego oka!

Tymczasem trzpiotek Sylwia ani się domyślała, ni przeczuwała co się w sercu ojcowskiem działo; nie знаła świata, nie przewidywała niebezpieczeństw; wyobrażała go sobie pięknym, rycerskim, szlachebnym.

Dojeżdżając do Warszawy, zupełnie już wytrzeźwiony, szambelan przeżegnał się raz jeszcze i odmówił ulubioną koronkę do Przemienienia Pańskiego — duszno mu było, straszno mu było!

Znał to miasto z dawnych czasów, a szambelan Pokutyński zapewniał, że się nic nie zmieniło.

Wojska i Sylwia obie wywiesiwszy się z okien landary, patrzyły, napatrzeć się nie mogły, uśmiechały się z radości, ścisnęły za ręce — szeptały po cichu...

— Warszawa! Warszawa!

III.

Mieszkanie pana szambelana Burzymowskiego, zawczasu dlań najęte w kamienicy prawie obok domu pod Filarami, który naówczas zajmowali państwo Soltykowie, już przybywających oczekiwało. — Szło panu Stanisławowi o to wielce aby stanąć przyzwoicie, w takiej miasta części, w której się dystyngwowane towarzystwo mieściło. Nie wiedział jeszcze naówczas że się go będzie musiał obawiać. Szczęściem lub nieszczęściem dla niego znalazło się niewielkie pierwsze piętro, osierocone po rodzinie hr. P... która tej zimy po Włoszech podróżowała. Starczyło ono dla Sylwii i przyjęcia kilku gości, bo na wielkie zgromadzenia u siebie Burzymowski się nie gotował. Na dole parę pokojów całę nicosobliwych i dobrze przybrukanych zając miał dla siebie pau

szambelan, który zbytkiem się brzydził i miał pewne upodobanie w przybrukanych kątach, z któremi się mógł poufale obchodzić.

Jako prawy szlachcic polski lubił módz sobie plunąć gdzie mu się podobało, nie potrzebując szanować posadzki, położyć się w zabloconych butach, nie oglądając na obicie kanapy, rękę zabrukana otrzeć na przedce o firankę — słowem, być sobie jak w domu. Właśnie na dole tu czuł się jak u siebie, bo pokoiki niebędąc zbyt schludne, nie wymagały poszanowania.

W drugim szczególnie na sypialnię przeznaczonym Zybek mógł i przez cały dzień nie sprzątać, a Burzymowski mu za to nie rzekł i słowa.

Na górze apartament był świeży i ładny choć niewielki. Sylwia wszystkim była zachwycona, znalazłszy się w tej upragnionej Warszawie. Ścisła ojca, całowała Czczewską, a gdy się okazał jakiś niedostatek (bo w istocie brakło tu wielu rzeczy i sprzętów) zapewniała że się to da później wszystko dopełnić, byle tylko jej samej gospodarować pozwolono.

Wartości grosza ani знаła, ani pojmowała jak on ciężko czasem przychodzi.

O pozwolenie gospodarowania zresztą pytać nie potrzebowała. Rozgoszczono się wesoło tegoż wieczora, tylko Burzymowski do swej izdebki spać poszedł z kamieniem na sercu. Pod wrażeniem spotkania opisanego w Jabłonnej, ciągle był

nieswój. Śniło mu się, że się z córką pojedykował i przebudził się z goryczą na ustach, a niepokojem w duszy. Szło mu najbardziej o to, aby Sylwią do czasu ukryć i zapobiedz wszelkiemu kompromitującemu krokowi, dopóki by on sam gruntu nie zbadał i we wszystkim się nie rozpa-trzył. Musiał się przecie lepiej rozwiedzieć, co to była za jedna ta pani de Vauban, która gospodarowała u księcia pod Blachą, a żyła z Ty-szkiewiczami w takiej przyjaźni. Mogli mu córkę pochwycić w towarzystwo niebezpieczne!

Postanowił więc niezwlekając, w imię dawnych swoich stosunków z tym domem, tegoż dnia się udać do pani kasztelanowej Połanieckiej, aby ją prosić o opiekę i radę. Matrona była dostojna. O tem jednak z obawy jakiejś opozycji, przeciw której słabym się czuł, ani córce, ani pani Woj-skiej nie wspomniał.

Odwiedziny były już postanowione, a choć mu brakło przewodnika, któryby go objaśnił kiedy i jak czcigodna pani kasztelanowa przyjmowała, obiecywał go sobie wyszukać.

Z tą myślą wstawszy, natychmiast byłby ją przyprowadził do skutku, gdyby niespodziana okoliczność nie stanęła na przeszkodzie.

Małe rzeczy są często wielkimi następstwami brzemienne. Zybek, któremu też pilno było do Warszawy, niewiedzieć dla czego, pośpiesznie zapakowując garderobę pana szambelana, piękne

buty safianowe, nicodzownie potrzebne do paradnego garnituru, wbił między inne rzeczy, zdusił, zmiął, pogniótl tak iż się w drodze poprzeciérały.

Szambelan ujrawszy to ręce załamul i krzyknął.

— A niechże cię jasne — — Trzeba było je oddać natychmiast do restauracyi do szewca, bo zresztą były one nowe, piękne, o jakich drugą parę nie łatwo nawet w Warszawie, a szambelan z wydatkami osobistemi ściśle się rachował. Do paradnego garnituru żadne inne kolorem nie pasowały, a innego garnituru jak ten numeru pierwszego wziąć nie wypadało.

Że zaś właśnie pod tę porę publiczność zeszła była z safjanowych i kardybanowych polskich butów na karbowane i ze sztylpami, Zybek musiał złatać od szyldu do szyldu Długą, Miodową i Senatorską, nim znalazł *ad hoc* kunsztmistrza, który się podjął kuracyi cholew pokaleczonych, ręcząc iż na nich znaku podróżnój presyi nie będzie. Burzymowski skazany został przez to na powszedni strój z czarnemi butami i — oczekiwanie.

Gdy się to działo na dole, na górze wybierała się pani Wojska Czeżewska także pośpiesznie bardzo do miasta, pragnąc dawne paryzkie i warszawskie znajomości odnowić, a przez nie dla kochanej Sylwii, którój była posłuszném narzędziem, utorować drogę do wielkiego świata.

I tu o mało, *mutatis mutandis*, nie powtórzyła się historia butów safianowych szambelana, lecz Czeżewska była i szczęśliwsza i zręczniejsza.

Zdawało się jej jadąc że nbranie we Lwowie niedawno dokompletowane, rzeczami jakoby świeżo z Paryża nadeszłemi, mogło wytrzymać próbę ognia Warszawy. Niestety!

Nazajutrz rano wyrzawszy przez okno na przechodzące i przejeżdżające do kościoła kapucynów damy, przekonała się iż o cały wiek mody pozostała za jej najświeższemi pomysłami!

Noszono staniki nadzwyczaj krótkie i wysoko podpięte, kapelusze ze skrzydłami ogromnie naprzód wysuniętymi i — mnóstwo szczegółów niesłychanej wagi i znaczenia brakło pani Wojskiej, aby się mogła śmiało pokazać w jednym z tych domów, które stroje wprost sprowadzały z Paryża i nie opóźniały się ani o miesiąc smieszném naśladowaniem tego co nad Sekwaną przypięto, przyszyto, ogarnirowano lub nastrzępiono.

Pobiegła z tém do Sylwii Czeżewska a panna uznała nadzwyczaj słuszném iż Wojska ubraniem zadawnioném, przy pierwszém wystąpieniu na świat, na śmieszność się narażać nie mogła.

Kompromitowałyby to nietylko Czeżewską, ale dom do którego należała.

Natychmiast posłano po powóz i Wojska poleciała zdyszana do pierwszych modniarek, aby się rozpatrzyć, poradzić i kupić co było niezbęd-

dném. Jój się lepiej udało niż szambelanowi i Zyb-
kowi z butami, gdyż Wojska umiała dać do zro-
zumienia w magazynie iż mu korzystną klientellę
z sobą przynosi, jeżeli zostanie usłużoną pośpie-
sznie. Nie targowała się téż wcale o cenę i około
południa mogła ze spokojném sumieniem udać
się w odwiedziny, nie kompromitując honoru
domu. Wojska miała myśl naprzód, zgodną z Syl-
wji życzeniem, udać się wprost do pałacu; *Na*
Górze (na krakowskiem przedmieściu) gdzie mie-
szkała pani hetmanowa Tyszkiewiczowa, której
dom najbliżej był związany z Blachą, i do naj-
pierwszych w mieście należał.

Lecz postawić krok tak śmiały, potrzebując
się pani hetmanowej przypominać, nie będąc pe-
wna, jak zostanie przyjęta? zawahała się Cze-
żewska!

Niezręczném, napastliwym wkroczeniem w ten
świat, można było popsuć wszystko. Do pani
Stasiowej potrzebowała téż kogoś za pośrednika,
wolała ją uprzedzić i być wprowadzoną.

Wojska ostrożna — bo może oparzona, posta-
nowiła naprzód grunt zbadać udając się do skro-
mněj istoty, nie świetne ale wpływowe zajmują-
cój stanowisko, starěj swěj przyjaciółki, nieja-
kiej pani majorowej Habałkowskiej, o której wie-
działa, bo z nią korespondowała, że mieszkała
w Warszawie od lat kilku. Listy wprowadzie tro-

chę dawno ustały — lecz rachowała na nią, jako na wielec sobie przyjazną istotę.

Z Habąkowską znały się jeszcze dziewczętami, chociaż Czeżewska starsza od niej była. Wojska owdowiawszy zeszła na rezydentkę w pokrownym domu, majorowa utraciwszy męża — (legendowego) umiała sobie wyrobić niezależną exystencję.

Jak? czem? trudno to było wyjaśnić, dosyć, że żyła wcale na pięknej stopie i ludzie się jęj nie ona im kłaniała. Niegdyś bardzo piękna Justysia, później żona jakiegoś majora Habąkowskiego, którego sobie nikt nie przypominał, majorowa umiała w ciągu życia, dzięki rozumowi swemu, dowcipowi i wielkiej wyrozumiałości dla słabości bliźnich — jak w ogóle bardzo dobremu sercu — że zaskarbiła sobie laski wszystkich, szczególnież osób wielkiego świata.

Stosunki z nim ntrzymywała starannie, szukała ich, powiększała, wspierała i mogła się pochlubić, że niemajac doń najmniejszego prawa, zyskała w nim obywatelstwo.

Wszystkie hrabine i księżne nawet zwały ją „kochaną majorową“ albo dobrą, pocziwą Jutką; — wszysej panowie byli dla niej z pewnem uszanowaniem połączonem z przyzwoitą ponfalością, witali ją nawet w ulicy zatrzymując się dla rozmowy.

Aby się utrzymać na tym stopniu dobręj przy-

jaźni ze światem mieszkającym w pałacach, jeżdżącym karetami, szafującym pieniędzmi, nawykłym do elegancyi, majorowa Habałowska, której majątek był tajemnicą nawet dla najlepszych jej przyjaciół — nie male ponosić musiała ofiary.

Miała na swe posługi przyzwoity powóz, lokaika wystrojonego, mieszkanie dosyć obszerne i urządzone tak aby w nióm dostojnych gości na chwilę czasem przybywających mogła przyjmować, nawet gdyby się jedni z drugimi stykać nie chcieli. Musiała się stroić modnie, i być zawsze gotową czy do zabawy, na której się pokazać była zmuszoną, czy do posługi której odmówić nie mogła.

Nazywano ją téż — *Chère amie!* a gdy czasem bywała cierpiącą, pani hetmanowa, generałowa Grabowska, pani Stasiowa Potocka, Sobolewska i mnóstwo innych pań posyłały się do wiadywać o jej zdrowie. Majorowa téż wszystkim hrabinom, księżnom, dostojnym paniom, służyła na wszelki sposób. *Honny soit qui mal y pense!* Ona się musiała zręcznie wywiadywać o stanie majątkowym przybywającej z prowincyi młodzieży, o stosunkach familijnych osób mniej znanych a chcących grać jakieś role w świecie, zawiązywać i rozplątywać mnogie intryki, godzić zwąśnionych, waśnić niepotrzebnie, a nazbyt poufale i jawnie zbliżających się do siebie.

Na oko majorowa nie zdawała się mieć za-

dnego zajęcia, a chwili spoczynku jój nie dawało. Od rana płynęły do niój bileciki, przybiegali słudzy i służące, jeździła do modniarek, do jubilerów, do lichwiarzy, stręczyła sługi, wypisywała z Paryża stroje, powoływała z emigracyi francuzkiój mnogich stręczących się do różnych usług kandydatów i kandydatki.

Była to osóbką niewielkiego wzrostu, zręczna jeszcze, żywa niezmiernie, niby młoda, mimo że twarzyczkę miała przywiędłą. i mocno życiem zmęczoną. Jednem wejrzaniem umiała poznawać ludzi, odgadywać myśli, przeczuwać charaktery, a do każdego zastosować się przedziwnie.

Słabostkę ludzką raz schwyciwszy jak nitkę w rękę, kierowała potém marjonetkami na podziw zręcznie. Same one nie wiedziały jak im skakać kazała.

Przy tém majorowa nie wydawała się wcale interesowaną, nie wymagała nigdy nie od nikogo. Dawane przez nią dowody przyjaźni wynagradzały się najeźścić podarunkami kosztownemi, które przynosiły więcej niżby na inny sposób żądać i otrzymać było można.

Rozumie się iż przy tak rozległych stosunkach, które z jednéj strony do najwyższych sfer sięgały, z drugićj zstępowały w mieszczańskie, kupieckie i pomniejsze kręgi społeczne — pani majorowa Habąkowska musiała znać w Warszawie wszystkich i wiedzieć co się gdziekolwiek działo.

Była to chodząca gazeta, w tych czasach gdy właśnie wychodzące w Warszawie, oprócz urzędowych wiadomości i ogłoszeń, jak najmniej krajowych a żadnych prawie miejskich nie zawierały plotek.

U majorowej dowiedzieć się było można o wszystkim, a gdy wypadku jakiego rozwiązanie było wątpliwe — jej horoskop nigdy prawie nie chybiał. Kto się chciał o co założyć, szedł do niej po radę.

— Majorowo dobrodziejko, ożeni się ów... z Parysówną czy nie? Chcę się założyć że nie!

— To waćpan przegrasz! odpowiadała majorowa.

I jak powiedziała tak się stało, pretendent ów z Parysówną się ożenił.

Co dziwniej nad wszystko, majorowę przyjmowały zarówno i pani de Vauban i hetmanowa i państwo Soltykowie i gubernator Kochler i Hoym, nawet pani starościna krakowska!

A gdy słuchając jej szebiotania i plotek spytała czasem:

— Kto ją rodzi?

Habąkowska sama do szlachectwa starożytnego nie mająca najmniejszej pretensyi, zawsze umiała objaśnić, i z jakiego kto był domu i jakimi się szczycił kolligacjami. Pamięć miała nadzwyczajną, genealogie głównych rodzin umiała napamięć, tak że nawet z Potockimi, niezmiernie rozrodzonymi,

rozgałęzionemi dawała sobie radę bez omyłki; do wiadomości kto rodzi dodając zaraz jakie były expektatywy sukeesy, testamentów, majątków i kapitałów.

Dóbr ziemskich wszystkich wartość mogła natychmiast powiedzieć, nie ehybiając wiele.

Można tedy się domysleć łatwo jak nieocenioną dla pani Wojskiej Czeżewskiej była znajomość i przyjaźń z tą drogą, kochaną Jutką. Nie widziały się z sobą dosyć dawno, ale młodsze stosunki są trwalsze nad inne.

Rachowała na to Czeżewska, gdy z bijącym sercem wysiadła przed wskazaną jęj kamienicą, i weszła na pierwsze piętro.

Tu lokaj w rodzaju liberji skromnej ale bardzo smakownej, chłopak choć go malować, oznajmił jęj że pani majorowa właśnie była przy tualecie i prosił aby była łaskawą chwileczkę poczekać w salonie; do którego natychmiast drzwi otworzył i portjerę podniósł.

Majorowa gdy była w domu, przyjmowała wszystkich w ogóle kto się tylko zgłosił, gdyż mając wielką mnogość interesów, niemogła przewidzieć nigdy, kto, z czém i jak ważnym przychodzi. Jak jęj na to czas starezył — to było tajemnicą.

Przewidnjąca wszystko pani Wojska, miała w rękawiczce na kawałeczku papieru napisane

nazwisko swe i poprosiła chłopaka aby je zaniósł swój pani. Sama wsunęła się do saloniku.

Było to malcúkie cacko, prawdziwa bombo-
nierka, zarzucona fraszkami, pełna sprządek i drobnostek wytwornych. Ani na ścianach, ani przy nich, ani na posadzce prawie, miejsca kawalczka niemi niezajętego nie było. Przybywający gość zaledwie się mógł z największą ostrożnością w tym labiryncie berżerek, etażerek, gierdoników, stołeczków, stoliczków, tabletek, półek, kanapek, koszyków, przecisnąć.

Na jednéj ze ścian wisiał owalny portret samej pani, gdy ta jeszcze piękną Jutką była, w białej sukience, w przejrzystej zasłonce, cudnéj blondyneczki uśmiechniętej a niby smutnéj, pokusliwéj, zalotnéj, niebezpiecznéj.

Portret malował Grassi *con amore* (bez przenośni) i stworzył też prawdziwe arcydzieło. Było w niem coś powietrznego, miękkiego, idealnego, a jednak żywy typ nie tonął w obłokach, które się go otaczać zdawały. Swojego czasu sprzeczano się o to, czy to był anioł zstępujący na ziemię, czy szatan na pokusę ludzką zamaskowany.

Na stole i mnogich innych sprzętach chińszczyzny, brzozy, świecidelka, kadzielniczki, flakoniki, wazonu ustawione były jak w magazynie u starożytnika, ale nie bez pewnego wdzięku i smaku.

Można się było domyślać, że na ten salonik składały się lata długie i serca mnogie przyjaciół i przyjaciółek, gdyż inaczey pański dochód roczny na tak kosztowne urządzenie go nie byłby starczył. W dwóch kątach stały naczynia z sewrskiej porcelany tak ogromne, iż równych sobie nie miały w Warszawie.

Obrazy otaczające portret były téż drogiemi płótnami szkoły flamandzkiej i włoskiej.

Czeżewska z zachwyceniem się przypatrywała temu zbytowski, przepychowi i smakowi swój drogiej Jutki, świadczącym, jak jęj na świecie dobrze być musiało; gdy usłyszała kroczki pospieszne i nim miała czas obejrzeć te bogactwa, otworzyły się nagle boczne drzwi, a w nich okryta tylko narzuconym naprędee szlafrocikiem, ukazała się na wpół ubrana majorowa, z wyciągniętemi dosyć jeszcze pulchnemi i ładnemi rączkami ku przyjaciółce.

Padły sobie w objęcia i z salonu przeszła pani Czeżewska, pomijając kilka różnych pokoiów równie wytwornie urządzonych, do gabinetu toaletowego, zasiadając obok zwierciadła, przed którym piękna niegdyś Jutka stroiła się, podmalowywała, trefiła, reparując

du temps l'irreparable outrage.

Czeżewska mówiła zwykle powoli, z namysłem, cedząc słowa, dodając im wyrazistości mimiką twarzy i rąk; za to majorowej usta się nie

zamykały. Myśli jej krążyły szybko po głowce a słowa błyskawicą wylatywały i toczyły się z ust wzburzonym potokiem.

— Kochana moja! — zaczęła zaraz, — zkadże ty tu? myślałam, że gdzieś za światem rekolekcye odsiadujesz spokojnie? Jakżeś się tu dostała? Mów! Proszę! Góra z górą! Zrobiłaś mi, mogę powiedzieć, największą w świecie siurpryzę, najmilszą. Przynosisz mi z sobą pamięć drogieh dni młodości!

Spojrzała w zwierciadło i na twarzyczkę swoją, którą zwróciła ku Czeżewskiej, kończąc zmienionym tonem.

— Patrz, proszę cię, jak ja zestarzałam przed czasem! Co to za paskudny ten zab czasu, którego ślady, niestety, nieczém się zagładzić nie dają, gdy serce — serce — ach! starzeć się nie chce i nie umie.

Około oczów, patrz, *ces pates d'oie, abominables!* zkad się to wzięło? z płaczu czy od śmiechu? Powiadam ci, że nawet i płacząc i śmiejąc się nigdy nie bardzo nie krzywiła, starałam się utrzymać na wodzy — a jednak! *Ce que c'est que de nous!*

To mówiąc nie próżnowała majorowa, spoglądała w zwierciadło, na przyjaciółkę, chwytając z gotowalni szcztoteczki tamponiki, flaszki, nacierając i poprawiając coś, przyklepiając, smarując spiesząc się, rzucając, podnosząc instrumenta tua-

letowe, a Wojska patrzała na tę jej żywość z uśmiechem, w którym było i trochę zdumienia i zazdrości wiele.

Majorowa paplała, rzucając ciągle pytaniami, a nie dając czasu do odpowiedzi.

— Kiedyżeś przyjechała? z kim? sama? Na jak długo?

Zwróciła ku niej oczy. Wojska sznurując nsteczka zabierała się nareszeie do eichój, powolnej odpowiedzi. Samo z siebie się rozumie, iż rozmowa toczyła się po francusku.

— Przybyliśmy tu dopiero wczoraj wieczorem. Pierwszy krok mój, droga Jutko, był naturalnie do ciebie. Nie przyjechałam sama, przewiozłam z sobą kuzynkę moją, córkę szambelana Burzymowskiego, której, mogę powiedzieć, zastępnę miejsce matki — *une enfant adorable!*

— *Attendez!* Burzymowski! Szambelan! A tak! tak! tłusty, okrągły, wesoly, dobry z kośćciami szlachcie — nawet nie wiem czy ma kości! Chodzi uparcie w kontnszu! Przypominam go sobie! Dawniej jedni go nazywali *Sztukamięsa*, drudzy *je Burzymowski*. A! już wiem! To ten sam być musi — sypała nie ustając majorowa. — Pamiętam jego żonę, *une beauté, passablement legère!!* Mówiono o niej dużo! *Enfin!* Ludzie mieli być bardzo majątni... Wszak tak?

Czeżewska wciąż się uśmiechając, a słowa wcisnąć nie mogąc, głową potwierdzała.

— Moja Sylwia — wtrąciła nareszcie cicho — jest cudnej piękności! Nie powstydzę jej się. Oprócz tego główka otwarta, życia wiele i pragnienia życia aż nadto!

Majorowa głowę ku niej obróciwszy słuchała, usiłując odgadnąć więcej niż w słowach było.

— Cóż z nią myślicie robić? — zapytała. — *La produire ici?*

— Spytaj jej co ona sama z sobą zrobić zechce? — odparła głos jeszcze zniżając i prawie szepcząc Czeżewska. — Dziewczę śmiałe, swawolne i nikomu niedające się prowadzić! Główka nad wiek! dowcip! przytomność! śmiałość — wszystko...

Gospodyni zdawała się żywo opowiadaniem zajęta, przysłuchiwała się bacznie, zamilkła nawet, aby się dać wygadać przyjaciółce, wlepiając w nią ciekawe oczy.

Czeżewska cedziła dalej powoli, robiąc minki pocieszne, które widocznie bawiły przyjaciółkę. Minki te były reminiscencyami młodości, na bardzo już pomarszczonей twarzy, dosyć śmiesznemi.

— Między nami — mówiła — przez mamę *nous sommes un peu cousins des Tyszkiewicz*. Rozumiesz? Mojej Sylwii chce się bardzo wejść w wielki świat i przypatrzeć się zbliska jego splendorom. Czuje się ona stworzoną do niego i ma przeczuć sukcesów, o których i ja nie wątpię.

Majorowa dwuznacznie się uśmiechnęła i ramionami ruszyła.

— Iluzye młodości! — zawołała. — Któż ich nie miał? Cóż z tego ślicznój, jak Iza czystej, pełnej sentymentów najpiękniejszych, idealnej Tereni Kickiej, że się książę Adam w nią kocha? Czy mu księżna jenerałowa pozwoli się z nią żenić? Sukcessa pięknych panien na arystokratycznym świecie są tego rodzaju, lub (uśmiechnęła się złośliwie) lub, zdobywa się serce, traci sławę i pokutuje za chwilę słodkiego marzenia...

Mimowolnie jakoś z pod serca wyrwało się to majorowej, która wnet się poprawiła.

— *Après tout*, zawsze trzeba szczęścia próbować! Dla takiej jak ty powiadasz, ślicznój osobki wziąć szlachcica w kozłowych butach, którego zawsze czuć albo bigosem lub czosnkiem lub obojgiem, to nader smutna ostateczność.

Czeżewska słuchając cierpliwie nie zdawała się w zupełności dzielić zdania przyjaciółki, nie odpowiedziała więc na nie, i gdy ta zamilkła, ciągnęła dalej.

— Nie dałaś mi dokończyć, droga moja! O ile córka pragnie zajrzeć po za tę tajemniczą wielkiego świata zasłonę, o tyle ojciec, nasz szambelan obawia się jego zasadzek i szkopułów. Zna je z dawnych czasów.

— *Il en sait quelque chose!* — szepnęła majorowa.

— Zdaje mi się, że myśli — ciągnęła dalej Czeżewska — dla córki inne znaleźć koło. Dziś miał być podobno u pani kasztelanowej Połanieckiej. *Entre nous*, nie zdradź mnie, idzie nam trochę o to, abyśmy go uprzedzili.

Mrugnęła znacząco na przyjaciółkę.

— *A bon entendeur, salut!*

Gospodyni, która właśnie zaczęła się była sznurować, bo o kibić, jedyną nienadwerężoną pozostałość przeszłości niezmiernie była troskliwą; parsknęła śmiechem suchym, jednym z tych śmiechów, co się nie z wesołości rodzą ale z potrzeby, aby zastąpiły słowo. Śmiała się oparłszy na gotowalni.

Czeżewska przerwała mowę.

— *Ah! la bonne, la respectable Połaniecka!!*

Ale cóż taka dziewczyna żwawa, jak ty ją opisujesz, u czcigodnej tej matrony robić będzie? Chyba razem z nią pończochę? Wiesz, że Połaniecka nigdy bez pończochy nie stąpi, nawet ją tak wymalowali! U pani starościniej Wielopolskiej mogłaby złoto dryzlować... U Lanckorońskiej jeżeli się za jej kuzynkami Szymanowskimi i Swidzińskimi docisnie, będzie albo pieski głaskać, lub, jak mówiłam, pończochę robić, siateczkę wiązać. A! pardon, dwa razy na dzień jest nabożeństwo...

— A! moja najdroższa, — przerwała Czeżewska ciągle się jednocząc z kuzynką, — m y, wcale

do pończochy i nabożeństwa dwa razy na dzień nie jesteśmy stworzone. Przyjdzie to w swoim czasie, ale teraz!

Zrobiła minkę figlarną.

— Radabym bardzo, abyś ty ją zobaczyła, poznała i swoim badawczym okiem oceniła tę istotę. Bądź co bądź, zobaczysz, pospolitą nie jest. *Elle n'est pas la premiere venue!*

Nastąpiła chwileczka wytchnienia, majorowa skorzystała z niej aby głos odzyskać i dalej ciągnąć rozmowę.

— Poznam ją bardzo rada, i powiem ci szczerze jak ją znajdę. Ja, nie chwając się, mogę spojrzawszy, prawie nieomylnie odgadnąć przyszłość! Ładnych pań i dziewcząt mamy podostatkiem, począwszy od tój anielskiej Tereni, o której wspominałam, a która pewnie uschnie starą panną, mamy Wielhorską nieszczęśliwą, bo sentymentalną nadto, Cichocką, Trembicką, Stasiową — wszystko to stanowi świetny nasz dwór pod Blachą, a innych mnogich gwiazdek drugiej wielkości nie liczę! Śliczny to wieniec twarzy-czek i postaci! Z tém wszystkiem młodzieży jest tyle, że jedną więcej ładną panną *ce n'est pas de refus!* Przyda się nam! Proszę cię samych Potockich co tu jest? Antoni, Marcelek, Michaś, Aleksander.

— A! moja droga Jutko, — odezwała się Cześwska, — my bo tak wysoko nie patrzymy! Na

dziś mowa tylko o tém, jak się pokazać i dać poznać a zabawić.

— A, *ma chère*, — odparła majorowa, — patrzeć zawsze potrzeba jak najwyżej, ażeby później módz sobie wyszukać, choćby jak ja, jakiegoś majora, *un pis aller* i skończyć przyzwolicie tę głupią komedję życia. Gdyby się zaczynało od majora, na czémżeby się skończyło?

Westchnęła, rozśmiała się i nie czekając odpowiedzi Czeżewskiej, ciągnęła dalej.

— Więc, jasno sobie zdajmy naprzód sprawę z położenia. Panna piękna, dobrze wychowana, dowcipna, żądająca świat poznać i zajrzeć *Na Górę* i *Pod Blachę*. Zdo Kochany tatulo bojaźliwy, skromny, radby kwiatek swój posadzić w cieniu matron i pod opieką wysokich dygnitarzy duchownych.

— Ale, powiadam ci, córka zrobi co zechce! przerwała Czeżewska, — to nie ulega wątpliwości. Jestem tego pewną; dosyć jój będzie najmniejszj zrzeczności, pozor, pretekstu! Papa nie jest okrutnym, da sobie wniówić co my zechcemy. *Il est de bonne composition*.

— No, a ja mam wam pomagać? tak? nie? — wtrąciła majorowa.

— Czekaj, ja cię jeszcze o to nie proszę, — rzekła Czeżewska, — choć wiem, że my się bez ciebie nie obejdziemy. Ja przybyłam dziś tylko

uścisnąć cię, wypowiadać się przed tobą, *a coeur ouvert*, polceć siebie twój protekcyi — a potém...

Majorowa rzuciła grzebyk i nagle się zwróciła ku niój.

— Wiesz ty co? Wszak twoja panna musi być w domu?

— Dziś my nie wychodzimy nigdzie, chyba może do teatru.

— Do jakiego teatru? — śmiejąc się podchwyciła majorowa. — Na włoską operę pani *Delicati* chyba wy pójść możecie, bo nam *Matrimonio segreto* już się przez uszy przelało.

— Wszak jest Bogusławski! — spytała wojska.

Gospodyni znowu śmiać się zaczęła swoim sztucznym śmiechem suchym.

— Ale któż przyzwoity chodzi na polski teatr Bogusławskiego? Szewcy i krawcy. Zresztą, jeśli chcecie, *c'est pour papa*, nie dla was! *au nom de Dieu!* Toby was odrazu najokropniej skompromitowało! *le plus mauvais genre!* Kogo-byście tam spotkać mogli? W najlepszym razie dwóch młodych Sapiehów, którzy tam chodzą na złość nam.

Nasz zaś teatr *de Société*, nasz, powtórzyła Habąkowska, — dziś nie gra.

— A zatém dziś w domu siedzieć będziemy — odezwiała się wojska.

— Otóż ja ci chciałam proponować, — spiesźnie podchwytując kończyła majorowa, — chcia-

łam ci proponować, gby z moją tualetą będę gotową, abys mi się pozwoliła odwiedzić do domu. Ja będę gotową, *tirée à quatre epingles*, za pięć minut. Przypomnę się przy tój zręczności pocciwěj sztukamięsie, powącham waszego kwiatka i — powiem ci potēm otwarcie, co i jak z nią poczynuac mamy.

Jeżeli twoja kuzynka okaże się tego warta, o czēm nie wątpię, to ją zaakaparujemy do nas pod Blachę i Na Górę, a nie — odprawimy ją do pończochy pani kasztelanowěj. Kto wie? Jeżeli ma dużo dowcipu, a Anetka ku niěj nie po weźmie zazdrości, dostanie towarzyszkę, przyjaciółkę nieocenioną. Ale Anetka łatwo bywa zazdrosną, a złośliwa jest i dowcipna — bardzo! bardzo!..

Czeżewska za całą odpowiedź z uniesieniem ją uściskała, co groziło świeżo ukończoněj toalecie.

— Jesteś nieocenioną! nicoszacowaną! — zawołała. — Jedź ze mną, mam powóz, zawiozę cię.

— *Allons donc!* — trochę szepleniąc odparła pani majorowa, — ty sobie możesz swoją dryndę odprawić, a ja ci ofiaruję mój — *ekripaż!*

Powiedziawszy to z przyciskiem, uśmiechnęła się i dygnęła.

— *Vous voyez! On ne se mouche pas du pied?*
Wojska westchnęła.

Tymczasem niezmordowana gospoia już za-

bierała do kieszeni niezbędne dodatki na wyprawę do miasta: flakoniki, chusteczki, pugilarresiki, różne tajemnicze bombonierki, z pastylkami na wszelkie wypadki. Spieszno jęj widać było, bo zarazem wydawała rozkazy służącęj, wołała o konie, drapowała przepyszny szal na ramionach, przeglądała się w zwierciadle i uśmiechała do Czeżewskięj.

Czuć w nięj było temperament kobiety. która cale życie spieszyć musi, nawet gdy nie do czynienia nie ma.

Wojśka, która była do zbytku powolną i namyślającą się, zachwycala się tą żywością, przypatrywała się przyjaciółce z uwielbieniem.

— Kochana Jutko! i ty mówisz żeś się zmieniła. Gdzież tam! Zawsze jesteś tą samą, pełną żywości, dowcipu, przytomną, czynną, piękną, zachwycającą.

— Dziękuję! — odparła majorowa, — ale bez tego życie byłoby gniciem! Trzeba się ruszać, aby nie postarzeć! Zmuszona siedzieć w kątku na kanapie z pończochą lub założonemi rękami, czuję żebym umarła!

Piękny lokaik pani majorowęj dał znać w tęg chwili, że konie były gotowe i dwie przyjaciółki wyszły razem.

Czeżewska siadła do karetki, a powozowi najętemu kazała jechać za sobą.

IV.

Szambelan właśnie się przed wiszącym u okna lusterkiem golil, gdy karetka majorowej stanęła przed kamienicą, a że zobaczywszy ją, przestraszony nie okaleczył się niebezpiecznie, istna była łaska Boża. Ręka mu się zatrzęsła i pojechała po brodzie aż pod gardło. Czuł że ekwipaż ten nie mógł zajechać do nikogo, tylko do pierwszego piętra; uląkł się tych odwiedzin paradnych. Wyjrzał oknem i przecucie się potwierdziło, gdy ujrzał Czeżewską wysiadającą z karetki z nieznaną jakąś damą.

Powóz i konie wyglądające bardzo elegancko, kazaly się domyślać osoby dystyngwowanej.

Z gorączkowym pośpiechem kończył rozpozczęte golenie, i drżącą ręką zaciał się kilka razy. Szczęściem kawalek bibuły był pod ręką, poza-

lepiał na prędcie rany i z pomocą Zybka, na którego krzyczał niemilosierdzie, jak gdyby ón wszystkiemu był winien, wczas jeszcze potrafił przywdziać suknie, nim majorowa wyjechała, i stawiał się na górę. Prawda że niektóre szczegóły ubrania wiele zostawiały do życzenia, ale szło mu o to wielce aby się naocznie przekonać, kto mógł z Czeżewską przybyć do córki. Spieszył się z młodzieńczą niecierpliwością.

Sylwia była już ubrana, a strój jej choć dosyć skromny, dziewczęce wdzięki podnosił. Suknię miała ciemną, odżywioną karmazynową przepaską; druga podobna wstęgą przedzielała na wpół, wysoko podpięte włosy bujne. Biały kołnierzyk na szyi i chusteczkę miała w ręku, ale jej w tém było tak pięknie, że wielka znawczyni niewieściech wdzięków, majorowa spojrzawszy na nią, stanęła zdumiona.

Przybrała zaraz ton poufały i przyjacielski, który był dobrą wróżbą. Panna widocznie miała wielką przyszłość przed sobą.

Po pierwszém przywitaniu Habąkowska, jakby mimowolnie odezwiała się półgłosem do przyjaciółki.

— *Mais elle est adorable!*

Posłyszawszy to Sylwia, się zarumieniła. Od rana już była Warszawą widzianą z okna, rozgrączkowaną.

— Cóż Warszawa? podoba ci się? zapytała przybyła — nieprawdaż że po Paryżu, to pierwsze miasto na świecie!

— A! czyż ja mogę powiedzieć żem ją widziała? — poczęła Sylwia wesoło, — mam tylko jęj przeczucie i pragnienie. Po naszěj wsi cichěj, spokojnej, jak się to tu inaczej wydaje wszystko! Ile życia, nawet na ulicach, jaki ruch, jaka orzeźwiająca wrzawa!

— Gdy się temu z blizka przypatrzysz — zawołała Habąkowska, jeszcze ci się to więcej podoba. Zobaczysz jak świetne mamy salony, jakie zabawy wytworne i dobrego tonu, co za stroje gustowne, jak mile, uprzejme i doskonale towarzystwo! A! ja to zawsze powiadam, kto nie może w Paryżu, powinien żyć w Warszawie, gdzie-indziej się wegetuje — nawet z prusakami brudnymi, których bardzo nie widać, tu się żyje. A! Warszawa jest najmiłszą w świecie!

— Niechże kochana pani, nie rozlakamia mnie na nią, odezwiała się Sylwia, od niechcenia przyglądając się sobie w zwierciadle — bo, kto wie, jak malutką cząsteczkę jęj poznać mi będzie wolno.

— *Allons donc!* — przerwała z oburzeniem majorowa, — żartujesz sobie, pani moja, będziesz ją znała i miała całą, ona ci się pięknie u twych nóżek położy!

Zaploniona znowu nśmiechnęła się Sylwia, gdy wtém hałaśliwie, nagle drzwi się otworzyły, i z twa-

rzą pokiereszowaną od brzytwy, niepomiciecznie zaczerwienioną, zadyszany, z oczyma zaognionemi wpadł szambelan jak bomba.

Spojrzał na majorowę ale jęj nie poznał, nie poznał, nie mógł sobie przypomnieć; z przesadzonym więc uszanowaniem zbliżyć się począł do figlarnie uśmiechającej się Jejmości, która mu dygała z daleka.

— Panie szambelanie, czyż to może być ażebyś pan dawnęj swęj przyjaciółki nie poznał? Czyż lata nbiegłe, takie *raważe* na twarzy męj by zostawić miały?

Zakłopotany niezmiernie szambelan spoglądał blagajaco ku Wojskiej, aby go poratowała, nie miał bowiem wyobrażenia, kto być mogła ta przyjaciółka! Cześewska spiesźnie na ucho podszeptała mu jęj nazwisko, ale to wprawiło go w jeszcze większe zakłopotanie. Znaczenia tego nazwiska, stanowiska majorowęj w społeczeństwie nie mógł na żaden żywy sposób sobie przypomnieć... Była dla niego zagadką.

W nadziei że dalsza rozmowa objaśnić go może, przysunął się starym obyczajem do ucalowania pulchnęj rączki, śmiejąc się niby wesolo, ażeby ukryć pomieszanie.

W duszy mówił sobie:

— Niech pękne jeśli wiem co to za majorowa! Nigdy w życiu podobnęj majorowęj nie spotka-

łem! Przyjaciółka moja! — Nigdy takich przyjaciółek nie miał.

Habakowska już z nieprzebranego zapasu gotowych frazesów, który zawsze miała na posługi, zaczęła żywo sypać na osłupiałego szambelana.

— Jaki to z kochanego szambelana ojciec przykładny! Prawdziwie za wzór drugim! Na karnewał z pode Lwowa do Warszawy! To się nazywa znać świat i kochać swe dziecię! Czyżby się godziło tak śliczny kwiatek trzymać w ukryciu i dać mu smutnie więdnąć w cieniu, między parafianami!

Wskazała śmiejąc się na Sylwię, która wdzięcznie, czule spoglądała czarnemi oczkami na majorowę.

Burzymowski coraz w trudniejszym był położeniu, czuł, że na te pochwały nie zasługiwał, niewiedział co miał odpowiadać. Śmiał się już tylko tym właściwym sobie rodzajem rubasznego śmiechu, bałaśliwego, który tak samo jak śmiech majorowej był dlań wygodną wstawką w rozmowie, gdy wyrazów brakło, odpowiedź była trudną, a odczwanie się koniecznem.

Śmiali się teraz tak właśnie oboje, sami niewiedząc z czego, a Burzymowski w duchu sobie ciągle powtarzał.

— Co za majorowa? jaka u licha majorowa? *quo titulo* ona się tu zjawiała nimeśmy się rozpakowali? Boże mnie skarż, o kobiecie tej wyobra-

żenia nie mam! Majorowa! Co za majorowa! Bąkowska? Bąkowska? Nierozumieni!

Habąkowska ze zwykłą swą gadatliwością, trzepała dalej niezmiészana wcale wejrzeniami szambelana, w których się jego osłupienie malowało.

— Bardzoście państwo szczęśliwie trafili, Warszawę znajdujecie niezmiernie ożywioną, domów otwartych mnóstwo, wszelkich stopni i rodzaju, do wyboru dla każdego smaku.

Premier choix, qualité superfine, Blacha, pani hetmanowa, Na górze, jenerałowa Grabowska, Kicka, Potoccy, Chreptowicz, dalej ciche i spokojne ustronie starościniej krakowskiej, kasztelanowej Polanieckiej, Małachowskiego, Czackich...

Szambelan roztargniony, wciąż pod naciskiem tej myśli, jaka to była majorowa, z nogi na nogę przestępując, niekiedy przebąkiwał półgłosem —

— Tak! tak!

W duchu jednak zaprzątnięty był zadaniem. Jaka u licha majorowa?

— Cóż za familjantka? Kto ją rodzi? Na śmierć zapomniałem! Musiała chyba męża i tytuł odmienić.

Posłyszawszy wyliczanie tylu domów, Burzymowski się w końcu nastraszył i odezwał jakąś nieśmiało.

— My, bo pani majorowo dobrodziejko — my, bo — jesteśmy cichej wsi mieszkańcy, domatorowie, do wielkiego świata nie nawykliśmy i nie piszemy się.

— Ho! ho! — przerwała mu Habałowska. — Cóż to pan szambelan zbytnią skromnością się tak deprecjujesz! Znałam przecie nieboszezke żonę jego, pamiętam jēj stosunki, domatorką wcale nie była!

Burzymowski zdumiał się jeszcze bardzieję po-słyszawszy o żonie swēj wzmiankę.

— Cóż to jest u kata? — mówił w duchu — i żonę moją znała? Co to jest? Jakato może być majorowa?

— Sylwia moja, wtrącił nieśmiało, jeszcze jest tak młodą!

— A pan byś ją dopiero podstarzałą chciał pokazać światu? rozśmiała się wesolo przybliżając ku niemu natarczywie majorowa. — Wstydźże się pan tēj zazdrości rodzicielskiēj! Choćbyś pan jēj nam niechciał dać, my ją gwałtem porwiemy! Ona należy do tego świata, którego będzie najpiękniejszą ozdobą!

W tēj chwili zegar na kominie stojący syknął i zaczął wybijać dwunastę, Habałowska skoczyła jak oparzona.

— A! co ja słyszę! dwunasta! już dwunasta — zawołała z przestraczeniem. Dałam słowo pani hetmanowēj i Anecie, że o południu, *juste*, będę na Górze! A! *pardon*, spieszyć muszę!

Zaczęła się pędkiem klaniać, dygać, ściskać, Czeżewskiēj coś szepnęła do ncha i zabrała się do wyjścia. Burzymowski choć dotąd na żaden

sposób przypomnieć sobie nie mógł, ani kto ona była, ani kto ją rodził, ze staroświecką galanterią, zaokrągloną podał jej rękę, postanawiając odprowadzić do powozu, bo tak mu grzeczność, której nigdy nie chybiał, nakazywała.

Gdy sam na sam znaleźli się na wschodach, Habąkowska zwróciła się ku niemu.

— Bez pochlebstwa, kochany szambelanie, — rzekła cicho, — córkę masz tak śliczną, tak śliczną, iż równiej jej, nawet tu u nas, gdzie wszystkie gwiazdy się zbiegają, znaleźć trudno.

Ma w sobie coś tak uroczego, niewysłowienie milego, naiwnego, że nam tu wszystkim naszym kawalerom pozawraca głowy, bodaj tylko starszym pardonowała!

Szambelan przycisnięty do ściany, bo wschody były wąskie, śmiał się, choć pochwały te brzmiały mu jak groźby, truchlał strwożony.

— A, pani dobrodziejko — rzekł dławiąc się — dla ojca sukcesy takie, to większa troska niż pociecha.

Habąkowska odpowiedziałwszy mu raz jeszcze tym samym swym zdawkowym śmiechem, którym się często posługiwała, wsiadła nareście do karetki, szambelan sklonił się drzwiczkom i stanął zadumany.

— Cóż to za licho ta utrapiona majorowa, taka fertyczna? Przyjaciółka domu, której ja ani znam ani wiem, ani się domysleć mogę? Język

jak na kołowrotku! sama jak fryga, a pachnie aż śmierdzi! i wystrojona! ki djabeł! — Znała mnie i nieboszczkę żonę! majorowa? W życiu żadnej takiej nie znałem! Zkąd data! przyjaciółka?

Poszedł coprędzej na górę dla wyjaśnienia tajemnicy. Córka i Wojska Czeżewska, spodziewając się go, oczekiwały.

W progu zaledwie stanąwszy, odezwał się niespokojnie do Czeżewskiej.

— Toś mnie waćpani, moja dobrodziejko, ułowieniem tej ryby nabawiła kłopotu. Boże mnie skarż, nieznałem nigdy, nieznam żadnej majorowej, ta mi się wpiera jako przyjaciółka! Gdzie? co? Zkądże się tu wzięła?

Przeżegnał się.

— Klnę się asińdzce, głowa mi pęka, nie sobie przypomnieć nie mogę. Hlabakowska powiadasz? — Nazwisko osobliwszego autoramentu. — Jakże z domu? może ją panną znałem? kto ją rodzi?

— A! mój Boże! przerwała obrażona Czeżewska — jak bo pan szambelan masz krótką pamięć? — majorową zna przecie cały świat! To jest ta, którą zwano piękną Jutką.

Szambelan stał zapatrzywszy się w podłogę i dumał.

— Jutka! No — zabij mnie jejmość, niepamiętam. Jestem jak w rogu... O żadnej pięknej ani brzydkiej Jutce nie wiem.

— Z domu Mydlowska, — zniecierpliwiona i z przyciskiem odezwała się Czeżewska — Mydlow—ska!

— Boże mnie skarż, o tém mydle nigdy nie słyszał! ramionami ruszając, — rzekł stary: Mydlowskich szlachty niema na świecie...

— Ależ to przecie osoba całej Warszawie znana, poważnie i dydaktycznie poczęła Wojska, okazując jak była dotkniętą tém lekceważeniem przyjaciółki. Słyszał pan szambelan że wprost ztąd pojechała do pani hetmanowój, a tam przecie lada kogo nie przyjmują! Jest to moja przyjaciółka od młodości!

Szambelan głową potrząsał i odezwał się cedząc przez zęby.

— Wszystko to być może, ale żeby ona, jak afirmuje, moją kiedy przyjaciółką była, albo nieboszczki, o tém się nam ani śniło!

Sylwia zaczęła się śmiać wesoło.

— Tatus bo kochany pamięć stracił, — odezwała się zbliżając doń i rękę mu kładąc na ramieniu. — Majorowa niezmiernie miła, żywa, serdeczna osóбка, podobala mi się bardzo! Taka jestem szczęśliwa, że ją poznałam! Tak z nią jakos łatwo, przyjacielska — uprzejma...

Burzymowski potarł głowę.

— Hm! ja tam tego — tak dalece n'e znajduję..., szepnął cicho — bo — bo.

— Bo co, kochany tatku? — zapytała córka przymilając mu się.

Czeżewska zarumieniona, urażona widocznie, nadąsana, w okno patrzyła.

— Bo — bo — odczuwał się stary zbierając na odwagę — bo — w tej tu Warszawie, jaka ona tam jest, należy być wielce oględnym, grunt rozpatrywać, badać, namyslać się dobrze niżeli się krok postawi.

Otóż ta pani majorowa, której ja nie ujmuję, choć z domu Mydlowska — zaraz z tąd wyjechawszy, roztrąbi i rozbębni o pięknej panience przybyłej z prowincyi, ludzi zaciekawi, zechcą nas dla swój satysfakcyi ciągnąć tam i sam, gdzie ja (otwarcie powiedziawszy) — tu głos podniósł i ręce uoczyście rozstawił — otwarcie powiedziawszy, możebym sobie mojej panny wprowadzać nie życzył.

— Ależ, mój ty surowy tatku -- na pół śmiejąc się, w pół strwożona i podrażniona poczęła panna Sylwia, której też wystąpienie ojca wobec Czeżewskiej było niemiłym — dlaczegożbym ja, panna szambelanówna nie miała czy nie mogła tam bywać, gdzie cały tutejszy świat i najlepsze towarzystwo uczęszcza?

— Hm! dla tego — odparł stary poprawiając włosy i budząc w sobie męztwo, którego nie miał — dlatego że ja ojciec asindzki — (tu się za-

trzymał i dokończył żywo), że ja mam ku temu słuszne powody!!

Odchrząknął.

— I — basta!

— A te powody, są? — spytała Sylwia łagodnie, gdyż nadto była pewna wygranej, aby ją bardzo ustraszać miało co ojciec postanowił.

— Moja kochana — odezwał się Burzymowski, są powody, z których ja ci się na teraz tłumaczyć nie mogę.

— Dlaczego? cierpliwie ale nie ustępując nalegała córka.

Burzymowski patrzył na nią długo i — dumał. Zebrał się wręcić na odpowiedź.

— Dla tego, moje dziecko, — rzekł, że w twoich latach lepiej jest wielu rzeczy nie znać i o nich nie wiedzieć..

Argument był słaby...

— Przepraszam tatkę, — odezwała się Sylwia — mnie się to wydaje inaczej. Ja właśnie przez niewiadomość tych rzeczy zatajonych mogłabym poplądzić, zatem zdaje mi się lepiej żebym o wszystkim wiedziała zawczasu.

Wojska niechęć się mieszać do téj rozmowy, stała na uboczu, patrząc to w okno, to na swą wychowankę. Sylwia uśmiechając się łagodnie do ojca, męczyła go piekąc na wolném ogniu swemi pytaniami. Burzymowski zamilkł, tarł wąsy.

— Tatku, — ciągnęła dalej córka. — Ile ja

mam lat, wiesz tak dobrze jak i ja, ty byś mi ich rad ująć, ja bym ich sobie chciała dodać. Dla kobiety, proszę tatka, to jest już wcale piękny wiek, jak tatka kocham. Mogę więc już wiedzieć niektóre życia tajemnice, daję ci słowo, jak mi powiesz, zrozumiem, a jak pojmem, posłucham.

Stary westchnął oczy podnosząc ku niebiosom, jakby w nich zmuszony był szukać ratunku.

— Dajże ty mi pokój ze swoim rozumkiem — odezwał się błagająco. I wnet zmieniając głos dodał.

— Powiem ci tylko, że niewyłuszczając powodów, dla których wybór zrobię tych a nie innych domów, w jakich bywać mamy — mogę zaręczyć, iż ten wybór mój będzie najlepszy, a domy najpierwsze i najdystyngwownsze... Mogę ci i za to zaręczyć, że ani przez skąpstwo, ani dla osobistej niechęci nie wyłączę nikogo...

— Domy najdystyngwownsze — podchwyciła Sylwia — to będą dla tatka pewnie te, w których odmawiają pacierze, pończochę robią i wzdychają do niepowrotnej przeszłości, nieprawdaż tatku? Domy, w których bywają księża Biskupi, staruszkowie łysi i siwi? a jak najmniej młodzieży i nigdy śmiechu?

Ale w takim razie, tatku, pocóżemy do Warszawy jechali? Ja, przyznam ci się, chciałabym się trochę zabawić...

Zniecierpliwiony, nieszczęśliwy Szambelan darł czuprynę.

— Bądźże spokojna — zawołał — wszystko się znajdzie, i przyzwoita zabawa i trochę skoków i śmiechu, — *ale* —

— Ale — podchwyciła córka.

Burzymowski niemogąc już dłużej egzaminu wytrzymać, ruszył ramionami i miał się ku drzwiom. Córka drogę mu zastąpiła, rozstawiając szeroko ręce.

— Mój tatku, — rzekła pieszczotliwie — ty zwykle dla mnie taki dobry, dziś jesteś prawdziwie nie do ugryzienia. Chyba już swojej Sylwki nie kochasz. Nie chcesz być ze mną otwartym, traktujesz mnie jak małe dziecko... Fe!

Czyżby te nieszczęśliwe buty tak ci humor popsuły?

Na wspomnienie o butach drgnął szambelan.

— No, no — odczuwał się łagodząc — zobaczysz, bądź cierpliwa, wszystko się dobrze ułoży, będziesz kontenta. Z niczem tylko zbytnio się nie trzeba śpieszyć.

— Mnie bo się zdaje tatku, — sprzeciwiła się Sylwia — że z niczem nie potrzeba się opóźniać.

Burzymowski nie widział już innego ratunku jak odwrócić rozmowę.

— Cóż to za terazniejsza młodzież? — rzekł — Micio u ciebie, no i u mnie dotąd nie był?

Sylwia obojętnie główką potrząsnęła.

— A pisałem do niego wcześniej, kiedy przybył mamy, — mówił szambelan — ażeby się tu zaraz stawiał na twe usługi. Poczciwy, dobry z kośćcami chłopak, a mimo przywiązania do nas pobałamucił i nie ma go do tej pory. Chyba listu nie odebrał.

— Zapewne że musi nie wiedzieć o przyjeździe naszym — odpowiedziała Sylwia lekko się zarumieniwszy — inaczej ręczę, że byłby się przystawił.

— Od niego bym był mógł zasięgnąć wiele potrzebnych informacji, — ciągnął dalej stary — wiem że Micio tu jest bardzo dobrze położony, że bywa u Sołtyków, u Chreptowicza, jeździ do Skicrniewic do księcia prymasa, zna tu wszystkich, wie o wszystkim.

Czeżewska uznała właściwem wtrącić swoje trzy grosze, i rzekła z przekąsem.

— Ale w wielkim świecie wątpię, żeby bywał!

— A gdzież większy świat być może, jak u księcia prymasa? — spytał złośliwie szambelan.

— Elegancki świat przecież gdzieindziej, to wszystkim wiadomo! — odcięła się Czeżewska.

— I o tym elegnackim. jak go asindzka zowiesz, wie on pewnie co wiedzieć potrzeba — odparł Burzymowski.

— Micio Grabski, chybaby był chory, inaczej

będzie z pewnością nie dziś to jutro — dodała Sylwia.

— Niech Bóg nchowa, żeby chory miał być — zawołał szambelan — ja go kocham jak syna.

Tu przerwawszy mowę, przeszedł się stary po pokoju i na pociechę paniom dodał jeszcze.

— Ja tymczasem nie próżnuję, i spełniam moje obowiązki. Zamówilem już powóz, gdyby go była potrzeba, bardzo przyzwoity, Dangłowski ale świeży...

— Co tu są za śliczne zaprzęgi — zawołała Sylwia ożywiona nagle. — Ja już siedząc w oknie dwa widziałam, o jakich mi się w życiu nie śniło. Służąca mi mówiła, że pierwszy z nich, eug tarantów jest księcia prymasa, a druga gniada czwórka z postrojonemi postylionami, ma być księcia Józefa.

Stary się rzucił.

— I ty go już widziałas?

— A! nietylko ja go widziałam, — odpowiedziała Sylwia z naiwnością dziecięcą — ale i on mnie zobaczył. Tak mi się przypatrywał, żem się aż od okna cofnąć musiała zażenowana...

Wyobrażałam go sobie daleko starszym, — szczebiotała dalej — wygląda wcale młodo i bardzo, bardzo dystyngwowany. Ma w rysach coś tak szlachetnego, twarz tak miłą, tak smutną, oczy tak wyraziste.

W czasie gdy Sylwia z wielkiem zajęciem

opowiadała o księciu Józefie, Burzymowski stał z głową spuszczoną, posepniejszy coraz.

Długo nie mógł odezwać się ani słowa.

— Pch! — rzekł w końcu — stary bałamut, ma już lat około czterdziestu... Ale tak! Pamiętam go młodym i pięknym w czasie sejmu czteroletniego i po kampanii 1792 r., ale to już temu latek kupka, a żyło się żwawo i z niejednego roku dwa zrobiło!

Zachmurzył się mocniej jeszcze i dodał.

— Ale, moja Sylwko Sylfido! ciekawość ciekawością, hm! czyż godzi się tak oknem wyglądać, żeby się aż dać widzieć? To mi się zdaje — nieprzyzwoicie!

Sylwia się rozśmiała wesoło.

— Oknem wyglądać, nieprzyzwoicie? tatku?

— A tak, oknem wyglądać, — potwierdził Burzymowski — zwłaszcza gdy przejeżdża taki bałamut, któremu lada młode oczki zawracają głowę,

— Tylko nie moje! — przerwała Sylwia.

— Jeszczeby tego chyba brakło na moją biedę! — odezwał się szambelan. — Niech nas Bóg uchowa i strzeże.

Czeżewska z tyłu stojąca, słuchając rozmowy ramionami ruszała. Sylwia śmiała się z nicopatrzością dziecięcia, szambelan burezał.

Pani Wojskiej wręście, to co nazywała prze-

śladowaniem ojca uprzykrzyło się — i wtrąciła głosem słodziuchnym, ale stanowczo.

— Pan szambelan ma czasem jakąś przyjemność tę biedną Sylwkę morałami udreć! Słowo daję! Widzi pan, że ją to irytuje.

Burzymowski zmiękł zaraz, trochę się nastraszywszy.

— To się tak gada, aby się coś gadało, — zawołał — nie znówu jej tak bardzo przykrego nie powiedziałem.

Przystąpił do Sylwii.

— Przepraszam cię, rybko moja, starzy jak ja zwyczajnie gdérać muszą, ale z przywiązania i dobrego serca.

Córka pośpieszyła go uściskać.

— Kochany tatku, — rzekła — ja ani się nie dziwuję, ani przykrzę tem, co tatko mówi, my się w końcu zawsze z sobą zgodzimy.

— Bóg widzi! prawda! tak! słowo daję! — zawołał rozczulony uściskiem dziecka, całując w głowę córkę szambelan — ty, pocziwa, dobra jesteś jak anioł.

Czeżewska zdała za niemi stojąca nie kryła złego humoru w jaki ją ta czuła scena wprawiała, było w tem trochę jej winy, że się Burzymowski posprzeczał, darować mu więc tego nie mogła.

Jesteśmy tak wszyscy, gdy się czujemy winnemi, część winy radziibyśmy złożyć na kogo innego.

Rada była co najprędzej pozbyć się, wyprawiając na dół, szambelana, gdyż sprawy toaletowe niecierpiące zwłoki czekały na nie, a Burzymowski nie kwapił się z pożegnaniem.

Widząc wreszcie, iż heroicznego użyć potrzeba środka, aby się go pozbyć, Czeżewska wśród najczulszych oświadczeń, któremi ojciec z córką pocieszali się wzajemnie, odezwiała się głosem dyktatorskim.

— Dziś jeszcze tysiące rzeczy jest do załatwienia, a my aniśmy nawet poczęły.

Ja muszę iść i proszę panny Sylwii, aby przybyła co najrychlej. Krawiec czeka, modniarka nad karkiem stoi, szewc przyszedł brać miarę.

Burzymowski posłyszawszy to natychmiast ku drzwiom ruszył, Czeżewska trochę szyderską i litującą się minę zrobiwszy powiodła za nim oczyma.

Taki był początek pierwszego dnia pobytu w Warszawie pana szambelana Stanisława Kostki Burzymowskiego, a jeśli kto to on wcale nie był uszczęśliwiony wypadkami dnia tego, w którym mu się wszystko na przekorę składało. począwszy od butów aż do spojrzenia córki na księcia Józefa, którego sława Don-Żuanśka dla ojców i mężów strasznym czyniła.

Z głową zwieszoną, powoli zsunął się po wschodach stary ku swoim izdebkom.

Tu Zybek, znający się na swych obowiązkach,

przyniósł mu na długim cybuchu nałożoną z czubem fajkę tytoniu tureckiego, z której zwolna pykać zaczął, smutny jak noc, przybity i wzdychający szambelan.

Sądził, że wieczór cały przyjdzie mu samotnie przepędzić, bo się nie spodziewał nikogo, nikomu niedawszy swojego adresu, gdy w sieni usłyszał znajomy głos szambelana Pokutyńskiego, który Zybka stojącego cały dzień we drzwiach, dla gapienia się na ulicę, pytał:

— Jest pan w domu?

W tej samej chwili drzwi się otwarły i wylegantowany zjawił się dawny kolega.

Bystre spojrzenie na twarz Burzymowskiego mogło go nauczyć, iż stary pierwszem wrażeniem Warszawy był znękany i wystraszony. Wczoraj na gościńcu widział go wesolym, uśmiechniętym, dziś znalazł zmęczonym, milczącym, posepnym.

Humor mu się popsuł bardziej jeszcze, gdy posłyszał od progu wołającego Pokutyńskiego.

— Powinszowania niosę! To się nazywa: *Veni, vidi, vici*. Cała już Warszawa brzmi imieniem córki waszej i sławą jej wdzięków! Wieść o jej piękności przebiega wszystkie salony, we wszystkich jest ustach... Ciekawość rozbudzona do najwyższego stopnia.

— A! Jezus! Marya! — krzyknął cybuch wypuszczając z rąk Burzymowski. — Zkąd? co?

jakże? krokiem nie wychodziła! Nikt jej nie widział jeszcze.

— Ba! ale Majorowa, która już tu była na oględzinach, zawiozła pierwszą wiadomość do pałacu Na-Górze, do pani hetmanowej. Wezorajsza młodzież także w kołach swoich rozgadała o cudnem zjawisku; naostatek książę nasz, zdaje się, że waszą pannę musiał w oknie zobaczyć; uderzyła go jej nadzwyczajna uroda, zachwycony nią musiał się posłać dowiedzieć kto to był taki.

Burzymowski zamiast się ucieszyć uderzył w szerokie dłonie i załamał je z wyrazem rozpacz.

Pokutyński śmiał się.

— Teraz — dodał — nie masz się już co taić i ukrywać z córką, ani przemyślać, gdzie ona bywać ma... Złapią was i pociągną gwałtem.

Szambelan tak był tem zmięszany, tak odrzuty swem nieszczęściem, że nie umiał wyrazić inaczej utrapienia, jak niezrozumiałem wykrzykiem.

— Pocóż się już było śpieszyć z butami!

Pokutyński szczęściem nie posłyszał tego westchnienia, ciekawy zawsze, rozglądał się tymczasem po niepozornych izdebkach, w których go kolega przyjmował.

— Spodziewam się, — bąknął po chwili — że córkę chyba lepiej musiałeś ulokować niż siebie. Przepraszam cię, ale twoje mieszkanie na

zabrukana celę kapucyńską wygląda, a dziś i twarz twoja, akomodując się do niego, ściągnięta coś jak po rekolekcyach!

— A! ja tam dla siebie wiele nie potrzebuję! — westchnął Burzymowski cały zadumany i pogrążony w sobie.

Pokutyński widząc go tak znękanym, rozbawić się starał.

— Pojutrze — rzekł — nasz teatr amatorski, ślieszna rzecz! Jeżeli gdzie to na nim cały nasz świat zobaczyć można i wszystkim się pokazać. Niesposób ażebyście na nim nie byli. O zaproszenie dla was postaramy się, odbierzecie je niezawodnie. Przygotujcie się więc do tego.

Oswiałym wzrokiem spojrzał Burzymowski na mówiącego i swoim zwyczajem włosy trzęść zaczął.

— Nie wiem prawdziwie, — rzekł — czy my tam pojutrze będziemy mogli być! Tylko co jesteśmy z drogi, babom pewnie jeszcze mnóstwa galganków brak, kto je tam wie! a guzdrają się...

— O! o! dadzą one sobie rady, — przerwał gość — ciekawość, ręczę ci, przyspieszy przygotowania. Córka twoja pewnie zechce widzieć reprezentację tę, ty zaś nadto jesteś dobrym ojcem, żebyś miał swe dziecko przyjemności tej pozbawić!

Zdaje się, że szambelan domyślił się przyczyny

ny frasobliwego usposobienia kolegi i miał złośliwą przyjemność go drażnić, gdyż mimo coraz bardziej zasepiającej się twarzy Burzymowskiego, kończył.

— Tak! tak, kochanku! kiedyś grzyb, to leż w kosz, ojcem jesteś trzeba dziecku być posłusznym — takie teraz prawo. Długo bardzo dzieci rodziców słuchały, teraz kolej przyszła na starych, że młodym się muszą akomodować. Panienka się zabawi, ty się rozruszasz i złe humory odejdą.

Kto wie? tyle młodzieży mamy? zakocha się w niej kilku, a przynajmniej jeden o rękę zgłosi. Pannie szambelanównie sprawimy weselisko, a ja na niem — wiesz co? no! ofiaruję się mazura z holubcem! Zobaczysz że się zwijam jak potrzeba!

Klepał po kolanie Burzymowskiego, który siedział smutny i milczący nieodpowiadając już nic, aby nie wywoływać drażliwych kwestyj.

Niewiadomo jakby się była rozmowa skończyła, gdyby w tej chwili nie wpadł naprzód Zybek wołając:

— Pan Mieczysław!

A za nim tuż wpadł młody mężczyzna, pięknej postawy, przeciw któremu szambelan z rozstawionemi pośpieszył rękami i do piersi go przycisnął.

— Micio! a, przecież! Jużem, słowo daję, nie

wiedział co myśleć, — wołał mocno poruszony Burzymowski.

W tem postrzegłszy, że przybyły zdala się kłania Pokutyńskiemu, pośpieszył go zaprezentować przyjacielowi.

— Mieczysław Grabski, mój bliski krewny, najmiłszy sercu mojemu młodzieniec, którego łasce twej, kochany szambelanie, gorąco mam honor polecić. Ale, jakże to być może, ażebyście się nie znali?

Pokutyński i Grabski zimno się jakoś powitali, w taki sposób, iż należało się domyślać, że o sobie wiedzieli, znali się może zdala, a nie życzyli poufalszej zabierać z sobą znajomości. Takie przynajmniej zrobiło to wrażenie na szambelanie.

— Zdaje mi się, — odezwał się zimno a grzecznie Pokutyński — żem parę razy miał przyjemność spotykać pana dobrodzieja.

— Tak jest, — pośpieszył z równie ceremonialną odpowiedzią Grabski — ale nie miałem szczęścia być mu przedstawionym.

Wyrazy te pan Mieczysław wymówił chłodno też, nie przysuwając się bliżej, a Pokutyński skłoniwszy się elegancko, po młodemu, sięgnął zaraz po kapelusz i uściskawszy Burzymowskiego, który go do progu przeprowadzał, oddalił się śpiesznie.

V.

Przybyły pan Mieczysław Grabski, zdala podobnym był do innych swych rówieśników warszawskiego bruku, których miał ubranie i postawę.

Suknie nosił według ówczesnej francuskiej mody i nie mu nie brakło, aby mógł za przyzwoitego salonowego uchodzić młodzieńca. Wpa-trzywszy się jednak w niego dostrzedz było można różnicę między elegantami i tężyzną ówczesną - a skromnym i nieco surowo, sztywniej wyglądającym Grabskim.

Wprawdzie włosy miał, jak ówczesna chciała moda, ostrzyżone *à la Titus*, bardzo krótko, frak z długimi połami, buty ze sztylpami, chustkę białą ogromną na szyi z fontaziem, jaki naówczas noszono, ale to wszystko skromne było, barw

niebijających w oczy i włożone tak jakoś, że nie zwracało uwagi, nie narzucało się przesadzonem staraniem o siebie.

Twarz pana Mieczysława bladawa, rysów regularnych, nie była ani piękną ani brzydką, lecz napiętnowaną wyrazem powagi nad wiek jego. Nie wydawał się bowiem starszym nad lat dwadzieścia kilka.

Trzymał się prosto, nieco z żołnierska, z widoczną pamięcią na siebie, chwilami jednak, jak gdy witał Burzymowskiego, surowość z oblicza ustępowała wyrazowi wielkiego, szczerego acz hamowanego uczucia. Naówczas lice to smutne całkiem się inne stawało, ożywiało, odmładzało, dopóki na rozkaz pana nie zeszywniało i nie stężało ostygłe.

Burzymowski na widok młodzieńca, dla którego musiał mieć afekt wielki, zmienił się cały, odzyskał wesele i rubaszość swoją. Po wyjściu Pokutyńskiego ponowił uścisk serdeczny i rzekł pośpiesznie.

— Ale, chodźmyż na górę do Sylwki, bo i ona niecierpliwa jest i radaby cię zobaczyć. Tylko, powiedzże ty mi, jak się to stało, ja się ciebie spodziewałem zrana jeszcze? Czy zapomniałeś o nas? czyś zapomniał?

— A! nie zapomniałem, boby to była niewdzięczność sroga, — odparł głosem miłym i sympatycznym Micio, — wstrzymała mnie okoliczność

pewna, *force majeure*, oprzeć się jej nie było sposobu. Miałem bardzo mile i zaszczytne zaproszenie do Skierniewic do księcia arcybiskupa, a ten nie puścił mnie od siebie, aż dopiero przed paru godzinami.

— Fiu! fiu! — zaśmiał się widocznie uszczęśliwiony Burzymowski, — jakie sobie stosuneczki porobiłeś... Proszę, proszę! Arcybiskup go zaprasza i zatrzymuje! Jeszcze kto i jaki? Krasicki!..

I raz go jeszcze uściskał, ruszając ku drzwiom, bo pilno mu było zaprowadzić go na górę.

— Chodźmy! — zawołał, — chodźmy. Tam dopiero ja i baby weźmiemy asindzieja na spytki. Tyś się tu już stał Warszawianinem, znasz grunt, a my biedni parafianie na oślep jeszcze stawiamy kroki. Jesteś więc dla nas drogocennym przewodnikiem, musisz pokazywać drogę.

Gdy na górę weszli do salki, nikogo w niej nie było, obie panie zbyt zapewne wiele miały do czynienia z galgankami i znajdowały się właśnie na ważnej naradzie z modniarką, którą pani Czeżewska częstując, przyjmując, obsypując grzecznościami, pozyskać się sobie starała.

Francuzka zaszczycona przez nią poufałem zbliżeniem się, wygadywała się z tém właśnie, jakie najświeższe suknie przywieziono dla hrabianki Anety z Paryża, co dla siebie kazała robić pani Vauban, jakie roby i jak garnirowane

zamówiły u niej dla siebie panie Stasiowa i Kosowska.

Szambelan nikogo nie znalazłszy w saloniku, zniecierpliwiony na cały głos wykrzyknął.

— Sylwio! Sylwio! gościa mamy, Micio jest!

W sąsiednim pokoju dało się słyszeć poruszenie żywe, drzwi się otworzyły i piękna Sylwia wyszła trochę zarumieniona i zmieszana, podając rękę kuzynkowi, który ją z wielkiem uczuciem, wpatrując się w jej oczy, pocałował. Czeżewska nie mogła jeszcze porzucić swęj francuzki, i pozostała z nią na radzie.

— A pięknie to, — odczwała się młoda gosposia, — tak na siebie kazać czekać? od ranaśmy się spodziewali pana Mieczysława. Tatko był niespokojny, czy nie chory...

Nim obwiniony miał czas odpowiedzieć, szambelan go uprzedził.

— Daj mu już pokój. Jest uniewinniony. Był u księcia arcybiskupa w Skierniewicach.

— A przytém, — dodał Grabski, — przyznaję się, że się niebardzo spodziewałem, abyście państwo ściągnęli na dzieńznaczony.

— A toż dlaczego? — spytała Sylwia.

— Bo drogi są szkaradne! — rzekł Grabski.

— Tak, ale nie ma złej drogi do swęj niebogi, — wtrącił śmiejąc się Burzymowski. — Dla Sylwki ta nieszczęsna Warszawa jak dla kogo innego ta nieboga. Wzdychała do niej, pędziła,

spieszyła. Nie żalowaliśmy konisków, no, to też dostały ciągi, leżą teraz tak że cały dzień nie wstawiały.

Sylwia się zarumieniła, Micio spojrzał na nią pytająco i rzekł.

— Czyżby doprawdy dla kuzynki taki nadzwyczajny urok miała Warszawa?

— Nie będę się wypierała... niezmierny! — szepnęła Sylwia.

— Formalnie się paliła mocibdzieju do tej Warszawy, tak że w końcu zląkłem się, aby nie zachorowała, gdy jej tej szybki z okna odmówię, — dorzucił Burzymowski, — a ja ci powiem, że tu trochę się rozpatrzywszy...

Nie dokończył i ręką tylko machnął wzgardliwie.

— A! bo to ten kochany tatko, wszystkiego się boi, najgorsze zaraz rzeczy przewiduje, uprzedzenia ma, — zawołała Sylwia. — Nie wiem doprawdy, co się ojcu stało, nagle nabrał takiej jakiegś odrazy, choć nie było najmniejszego powodu!

Micio popatrzywszy na ojca i córkę odezwał się zwolna.

— Przyznaję się, że i ja miałem wielkie pragnienie dostania się tutaj.

— No, i zawiódłeś się? nie prawdaż? — przerwał spiesźnie Burzymowski.

— No... tak i nie, — odpowiedział Micio spo-

glądając ku Sylwii nieśmiało. — W istocie poznałem tu wiele osób, dla których mam wysoki szacunek i których znajomością się zbogaciłem, a że oprócz nich jest dużo wietrzników i płochego ludu, cóż dziwnego? miasto duże, ludzi mnogo!..

Sylwia jakby błagając go, aby się nad tém nie rozwodził do zbytku, bystrém spojrzeniem które w niego wlepiła, zdała się ostrzegać, ażeby ojca nie drażnił.

Micio zrozumiał ją czy domyślił się czego żądała, odpowiedział jój wzrokiem uspokajając i zamilkł.

— Gadajno asindziej, gadaj, — zawołał Burzymowski, — co się tu święci? Jakie macie towarzystwo czy towarzystwa? Gdzie ty bywasz? Kogo znasz? Kogo lubisz a kto ci wstrętny? Jak znalazłeś ten ich wielki świat?

— Świat wielki, kocha ny szambelanie, — począł przynaglony Micio, — jest zdaje mi się wszędzie jeden i ten sam. Dla niego elegancya stanowi warunek życia, rozrywka jest jedynym jego pokarmem, wesołość żywiołem, intryga zatrudnieniem. Trudno od niego wymagać, aby coś więcej nad to miał na celu.

— Ah! jaki bo ty jesteś stary kuzynku! — rozśmiała się Sylwia, z rodajem wyrzutu zwracając się ku niemu. — Świat młody bawić się musi...

— Ja też przeciwko zabawie nie jestem, — począł bronić się obwiniony, — tylko całe życie jęj poświęcać, nie zdaje mi się właściwém. No, i mnie, do tego się przyznaję, zestarzałego przed czasem, jak kuzynka powiadasz, zabawa nie bawi.

— A cóż cię bawi? — podchwyciła złośliwie trochę Sylwia.

Micio długo, tęskno spojrzał jęj w oczy i westchnął.

— Czy to dla nas w ogóle chwila do zabawy, nie wiem i wątpię, — rzekł smutnie.

— A! powiesz nam zaraz kazanie o surowych życia obowiązkach! — śmiejąc się przerwała Sylwia, — ale myśmy to już od ciebie słyszeli.

— Masz słuszość, kuzynko, — odparł Grab-ski, — o mało nie powtórzyłem kazania z tekstu znanego ci jeszcze w Burzymowie. Tak, mnie się zawsze zdaje, że po wielkich klęskach i przesileniach, po stratach ogromnych, ludzie się powinni skupiać na duchu, pracować, starać się siły odzyskać, a nie myśleć o zabawach.

— Jak to czuć, żeś kuzynek powrócił dziś ze Skierniewic od księcia arcybiskupa! — wesolo wtrąciła Sylwia.

— Mylisz się, piękna kuzynko, — odparł Mieczysław, — bo nie znasz naszego arcybiskupa. Pewny jestem, że myśli tak samo jak ja, a jednak niktby tego po nim nie poznał. Na pozór nie ma weselszego, swobodniejszego umysłu czło-

wieka nad niego. Zasadza drzewka, pielęgnuje kwiatki, których jest niezmiernym miłośnikiem, dowiecipkuje, żartuje, lubi jak ty towarzystwo wesole, a wiem że to wszystko poważniejsze myśli okrywa, choć mało kto to pozna po nim. Są chwile, w których smutek trzeba zagrzebać, aby go nam nie odjęto, a weselem się zamaskować.

Burzymowski słuchał nie mięszając się do rozmowy, Sylwia zamilkła chwilę trochę zmieszana; stary z tego skorzystał i wtrącił.

— O tém potem — teraz pochwalmy się przed kuzynkiem, jak z krótkiego skorzystawszy czasu jużesmy kilka porządných bąków ustrzelili.

Micio odwrócił się ku niemu z ciekawością.

— Jakto? cóż?

Sylwia ramionami ruszyła.

— Rejestr już dosyć długi, — począł szambelan. — Naprzód, wystaw sobie, licho nadało, w Jabłonnéj na gościńcu zetknąć się z Pokutyńskim, a przez niego popaść w gromadę jakichś hulaków, jakiegoś Dąbskiego, Kalinowskiego, Bielińskiego...

Micio skrzywił się słysząc nazwiska.

— Poniekąd, zrobiła się z nimi wcale niepotrzebna znajomość, ale mieliśmy do czynienia z podchmielonými.

— Jakto! i kuzynka? — podchwycił z przestrachem Grabski.

— Widzieli ją tylko zdaleka i przez mgłę

ponczu, — westchnął Burzymowski, — ale i tego zanadto! To tedy, raz! Powtórę, pani wojska Czeżewska wprowadziła nam tu swą dawną przyjaciółkę, która się już i moją nazywa, majorową Mydlowską z pod ciemnej gwiazdy, fertyczne jakieś licho, które już po Warszawie o Sylwii rozniosło — to dwa. Naostatek panna szambelanówna, wyglądając okienkiem, miała już szczęście wpaść w oko księcin Józefowi, który aż do kamienicy przysyłał dowiedzieć się, kto to taki w niej zamieszkał!

— Tatku! — przerwała Sylwia.

— A no, nie kłamie, słowo daję, tak jest! — potwierdził Burzymowski.

Grabski pobladł i zaciął usta. Czoło mu się pofałdowało.

— Ale, ale — ciągnął dalej stary zwracając się do niego, — ty mi raz powiesz jasno i uczciwie...

W tém spojrzawszy na córkę, pomiarkował, że przy niej pytanie to byłoby może nie w miejscu i swoim zwyczajem zakończył.

— A no — o tém potem...

— Przepraszam, — wtrąciła Sylwia domyślając się przyczyny milczenia ojca i obrażona a poruszona tak, że jej rumieniec na twarz wystąpił. Pana Mieczysława biorę za sędziego przeciwko tatkowi. — Postępuje ze mną jak z małym dzieckiem, mnóstwo rzeczy chce zakrywać i taić przede

mną! Czyż dobrze jest mnie zostawiać w nieświadomości? to tak jakby mi na drodze rowy i doly pozakrywano... O co ojciec chciał pytać?

Burzymowski obiema rękami po bokach się uderzył.

— A! to skaranie Boże, z tą kobietą ciekawością! — zawołał.

Grabski mileżał mierząc niespokojnymi oczyma ojca i córkę.

— No, więc jasno, kategorycznie! — krzyknął zrozpaczony szambelan, — tak, tak, mówmy jasno. Powiedz mi, panie Mieczysławie, bez ogródki, kto gospodaruje pod Blachą? he? Jakaś emigrantka, pani de Vauban, która mieszka sobie u księcia? Cóż to jest za gospodarstwo? Książę kawaler, ta jejmość mężatka bez męża. — Gdzież to kto co podobnego słyszał? Mogąż tam bywać kobiety, co o swoją sławę dbają? Co to jest za stosunek?..

Sylwia usłyszawszy pytanie ustąpiła z wolna ku oknu.

Zaskoczony niespodzianie kwestyą tak drażliwą i tak ostro sformułowaną, Grabski się potrzebował namysleć.

— Pani de Vauban, — rzekł, — przybyła tu z siostrą księcia, która ją tu — zostawiła. Ma ona męża w tej chwili nawet znajdującego się w Warszawie. Wszystkie panie bywają u niej, i choć położenie jest niejasne, fałszywe, ściśle biorąc

trudno kamieniem rzucić... Muszę to dodać, — rzekł po chwili Grabski, — że owa sławna pani de Vauban nie jest ani bardzo młoda, ani piękną, ani o księcia zazdrosną. Przyznaję, że położenie jest nieco dwuznaczne, ale kiedy ani pani hetmanowa, ani księżęta Czartoryscy, ani wszystkie inne matadory wielkiego świata, nie widzą w tem nic zdrożnego...

Burzymowski dziwnie się jakoś otrząsał i splunął, a Sylwia za ten sąd pełen umiarkowania i wyrozumiałości wejrzeniem miłym podziękowała kuzynkowi.

— Zatem, — dodał szambelan po namyśle, — gdybyśmy tam byli weiągnięci, możemy, moglibyśmy tam iść? he?

Grabski nie odpowiedział, milczenie było znaczące.

— Gadajże! jak sądzisz? — nalegał Burzymowski.

— Kochany szambelanie, — odezwał się zagadnięty ze smutkiem, — nie trzeba było przyjeżdżać do Warszawy, jeśli się tego chciało uniknąć.

— A któż u licha mógł wiedzieć o tych Wonpanach, o tem wszystkiem! — wykrzyknął rękami rzucając Burzymowski. — Tu poprostu spytajacan na ulicy kogo chcesz, powie ci każdy ulicznik, że Vauban jest księcia Józefa metresą!

Sylwia nim ojciec to dokończył, wyszła do

drugiego pokoju. Ciężar spadł z piersi Burzymowskiemu, gdy obejrzawszy się spostrzegł, że jēj nie było.

— No, nie ma jēj, mówmy teraz z sobą otwarcie. Co mam począć?

Westchnął Grabski, pochylił się do ucha i powtórzył cicho.

— A po cóżeście przyjechali do Warszawy, kochany szambelanie? Pytanie spóźnione, ja na nie inaczej odpowiedzieć nie umiem, tylko że uniknąć tego towarzystwa, którego się obawiasz dla kuzynki, będzie prawie niepodobieństwem. Wszakże macie jakąś kolligacyę z Tyszkiewiczami?

— A tak! daleka jakaś, ale jest i Sylwia w to bije! — mruknął Burzymowski.

— Możecież się uchylić od tych kół i towarzystw, w których i pani hetmauowa i wszyscy bywają?

Szambelan zamilkł zakłopotany, Sylwia nie powracała, począł więc, ujawszy pod rękę Grabskiego.

— Ja miałem myśl inną, — rzekł, — dałbym za wygraną kolligacyi, chciałem Sylwię wprowadzić do tych tylko domów, którym nie zarzuścić nie można, do pani Lanckorońskiej, do Wielopolskiej, do Sołtyków.

— I tak nawet trudnoby było, — odparł Grabski, — zetknięcia się z Blachą uniknąć. Dla mło-

děj osoby zabawy są potrzebą; na kasynie, w teatrze, w ogrodzie spotykałibyście codziennie osoby należące do kółka z pod Blachy. Piękność kuzynki musi wszędzie na nią ściągnąć oczy...

— Masz słuszość, — przerwał nagle z heroiczną rezygnacją szambelan, — zrobiłem kapitalne głupstwo przybywając tu... idzie teraz o to tylko, aby się ztąd jak najprędzej wydobyć.

Tymczasem, Miciu, ty bądź dla nas na te truczny antidotem. Jesteś młody a nie płochy, Sylwka niewinna, poczeiwe dziecko, nie widzi nie na świecie oprócz zabawy, ja jej nie nie wyperswaduuję, mówię językiem starego; rzucone czasem przez ciebie słowo może dla niej być zbawienne. Graj rolę mentora...

— Kochany panie szambelanie, nadto mi przypisujesz mocy i powagi, — odezwał się śmiejąc Grabski. — Kuzynka zowie mnie pedantem, nie rada słucha, moje słowo niewielką u niej mieć będzie wagę. Mam dla niej braterskie przywiązanie, gotów jestem na wszystko... ale, cóż ja tu znaczę?..

— Gdzież ty bywasz? — spytał po namyśle szambelan.

— Ja? wszędzie i nigdzie, — rzekł Grabski z uśmiechem, — jestem tu czémś tak mało znaczącém, że się wszędzie mogę wcisnąć niepostrzeżony i wyjść niewidziany. Czynnie i stale nie

należę do żadnego kółka, stoję na boku, jestem spektatorem.

— No, ale przecież gdzieś bywasz? — spytał Burzymowski.

— Domy w których bywam częściej, — odparł Grabski, — są nieliczne. Bywam u pani staroścień krakowskiej, a kasztelanowej Połanieckiej, u Chreptowicza, Czackiego, Soltyków, narazie i w Skierniewicach.

Wszystko to nie bawiące się, nie zabawne i ciche.

— A... pod Blachą? — wyjąknął Burzymowski z ciężkim westchnieniem, — pod Blachą?

— Cóżbym ja tam robił? Do teatru się amatorskiego nie przydam, i do niego aż nadto już kandydatów, dowcipny nie jestem, kobietom służyć nie umiem.

— Znasz przecie księcia Józefa, jako dawny podkomendny jego?

— Tak jest, — rzekł Grabski, — ale go tylko zdawa widuję. Otoczony jest obcemi lub takimi ludźmi, z któremi ja nie mam nic wspólnego. Mniemam, że wszystko co czyni potrzebnem mu jest tylko do zamaskowania się, do przekonania prusaków, że o szabli zapomniał, że żadnych już nie żywi nadziei i zamiarów nie ma... ale... właśnie dlatego ja mu teraz niepotrzebny.

— Mów otwarcie, co się z nim teraz stało? odezwał się szambelan — sfrancuział słyszę!

— Zawsze był więcćj niż na pół francuzem, odezwał się Grabski, czemu nie winien bo go tak matka cudzoziemka wychowała. Nie przeszkadzało mu to być mężnym wodzem i szlachetnym człowiekiem. Był zawsze płochem chwilami dziecięciem wielkiego świata, ale pod tą płochością serce mieszkalo złote. I dziś go sądzić surowo nie należy, jestem przekonany że gra doskonale głęboko obmyślaną komedye, której ostatni akt—tragiczny może, skończy się wielkim Europy i naszym oklaskiem! Czekajmy!

Spojrzał na mówiącego Burzymowski, jakby go nie mógł lub nie chciał zrozumieć — zamilkli, Słwja która z drugiego pokoju coraz cichszą, słyszała; jakby dogorywającą rozmowę, weszła teraz znowu, prowadząc z sobą panią Czeżewską, która pozbywszy się już francuzki, powitała gości bardzo zimno i kwaśno. Widać było że u niej lask nie miał.

— Po jutrze, odezwała się korzystając z milczenia pani Wojska, mamy teatr *de société*, na którym być musimy. Niemaló będzie z tualetą kłopotu, pierwszy krok na świat, jest niezmiernej wagi.

— A! a! już asindzka wiész o tym teatrze! zawołał Burzymowski smutnie.

— No? a pan? odparła Czeżewska.

— A! i ja już o nim wiedziałem! westchnął trąc łysinę stary.

— Pan na nim także zapewne będzieś?
z przekąsem zwracając się ku Grabskiemu odezwała Wojska.

— Będę niezawodnie! krótko odparł Grabski.
Nie zdawała się tej repliki spodziewać Czeżewska, zacięła usta i zmilczała.

Sylwja wesoło zbliżyła się do kuzyna.

— Bardzo się z tego cieszę, rzekła — bo jeśli mi zabraknie *cicerone* któryby mi pokazywać umiał wszystkie piękne panie i panów, zamawiam sobie pana Mieczysława i umęcę go, zapowiadam!

— Będę w odwodzie na wszelki wypadek — odpowiedział Grabski z ukłonem, chociaż jestem najmocniej przekonany, że piękna kuzynka mieć takich będzie tylko *l'embarras du choix*.

— Nie znam nikogo!

— Ale wszyscy zapragną cię poznać — odparł Micio.

— Pan w Warszawie, jak widzę, nauczyłeś się być galantem, dołożyła złośliwie zawsze pani Wojska.

— Widzi pani, żem tu czasu nie stracił! rzekł Grabski uśmiechając się.

Sylwja ciągle z wielką uwagą przypatrywała się kuzynkowi.

— Wszak to modny sposób noszenia włosów, *à la Titus*? odezwała się do niego. I to dowodzi żeś pan skorzystał z pobytu w stolicy, posłusznie się zastosowując do rozkazów królowej mody!

— Miałem się stać śmiesznym i dziwacznym chodząc inaczej niż drudzy? odparł Grabski. Zwracałbym oczy na siebie, a jest todla mnie jedna z najprzykrzejszych w świecierzeczy.

Czeżewska ruszyła ramionami, Sylwja zamilkła.

— Ten wasz Tytus, piękne nazwisko, nie ma co mówić, ale to nie ciekawie wygląda — dodał Burzymowski, już ja mój podgolony lech wolę.

Grabski śmiał się, oczy jego chodziły ciągle za piękną kuzynką, która też często nań badające rzuciła spojrzenia. Ohej człowiek który by ich widział przy sobie, mógł się domyśleć łatwo ze strony Grabskiego, utajonego dla Sylwji sentymentu, z jej strony świadomości tego uczucia i prawie zupełnej na nie obojętności.

Stosunki blisko trzydziestoletniego pana Mieczysława z daleko od niego młodszą kuzynką, sięgały już lat dawnych, on znalazł ją i pamiętał prześlicznym dziecięciem. W oczach jego wyrosła na ten czarodziejski kwiatek, który się teraz rozwijał w pełnym blasku. Nie podobna prawie było ciągle ją widując nie rozkochać się w niej szalenie; zwłaszcza że młodziuchna istota, z instynktem zalotności prawdziwie niewieścim, chciała i nakazywała się kochać.

Lecz między tą leciuchną, ptaszyną stworzoną do swobodnego lotu, a panem Mieczysławem ciężko kroczącym po drodze żywota, niezmierna

była charakterów i usposobień różnica, a temperament wiódł na te wonne życia manowce, których on znal zdradliwość i zasadzki. Micio był nad swój wiek poważnym człowiekiem, ona właściwą swym latom miała życia ciekawość i jego pragnienie.

Bardzo młody, zaledwie osiemnastoletni w czasie sejmu czteroletniego, Grabski zaciągnął się po nim do wojska w 1792 r. odbył kampanję z księciem Józefem, a epoka ta właśnie, w której pierwsze odebrał wrażenia najsilniejsze po sobie zostawiające znamiona — epoka ta uczyniła go z młodzieńca mężczyzną, dała mu dojrzałość zawczesną.

Kochając Sylwję Grabski na próżno usiłował ją do siebie uczynić podobną; skierować jej umysł do zapatrywania się na świat i jego obowiązki z poważniejszego stanowiska.

Sylwja, mając dlań trochę przyjaźni i poszanowania, przez wdzięczność za to kochanie chciała go odmłodzić i roztrząpić.

Nawracanie wzajemne po wielu próbach, okazało się w końcu zupełnie bezskutecznem.

Pozostali więc z sobą w tój jakiejś ciąglej serdeczněj wojnie, która nie przeszkadzała im być najlepszymi przyjaciółmi, choć się ciągle z sobą ucierali.

Micio miał nadzieję że ją wiek odmieni, kochał się w niěj zapamiętane i uparcie, a że wpływ

Czeżewskiej zdawał mu się z pierwszych względów szkodliwym, że przeciw niemu otwarcie walczył, miał za to poprzysiężoną nienawiść pani Wojskiej, która się z tém nie kryła że cierpieć go nie mogła.

Obie z Sylwją nazywały go niecznośnym pedantem, ale kuzynka przyznawała mu dobre, pocziwe serce, a Czeżewska utrzymywała że w pożyciu byłby z niego najstraszniejszy tyran, jakiego ziemia nosiła.

Burzymowski kochał go jakim był, nie rozmyślając nad nim, miał dlań słabość, miał w nim ufność — któż wie? przyjął by go był może za zięcia, chociaż podobno wyżej sięgał życzeniami dla Sylwji, a nazwisko Grabskiego szczególnie, z powodu znanego od wicków przysłowia, zdawało mu się śmieszném.

Przywiązany był do niego pomimo to, jak do własnego dziecięcia — ale Sylwja, Sylwja dlań była nietylko dziecięciem ukochaném, była bóstwem i królową.

Towarzystwo całe jeszcze zebrane było w małym saloniku na górze, a rozmowa toczyła się znowu o niezliczonych szczegółach i formach życia wiejskiego, których wszyscy byli zarówno ciekawi, gdy drzwi od drugiego pokoju otworzyły się jakoś ostrożnie, do połowy, szept dał się słyszeć niewyraźny a przyspieszony i pani Wojska wybiegła z żywością zwykłej jej powadze nie

odpowiadającą, powracając natychmiast zarumienioną, rozpromienioną, tryumfującą, z bukietem w ręku przepysznym, z najrzadszych w tój porze i najpiękniejszych kwiatów złożonym, związanym białą wstęgą atlasową.

Z ukłonem niezmiernie wymuszonym, teatralnym, śmiejąc się na wpół złośliwie, pół radośnie, podala go pannie szambelanównie, prawie przestraszonęj.

Na wstędze stał napis :

Hommage à la belle inconnue.

Szambelan podbiegł zdyszany.

— Cóż to jest? zkąd? krzyknął.

— Służący jakiś, dzokej, odpowiedziała patetycznie Wojska, młody, ładny chłopak, bardzo elegancko ubrany, znać z pańskiego domu, stanął przed chwilą u drzwi kamienicy, i oddał go służącej z poleceniem wręczenia pięknej pannie mieszkającej na pierwszém piętrze.

Zarumieniona, w płomieniach cała, pomieszana niezmiernie szambelanówna zakrzyknęła.

— Ale, ciociu! to niemoże być dla mnie!

— Tak jest, na mój honor, dla ciebie, śmiejąc się, uszczęśliwiona powtarzała Czczewska — nie dla kogo tylko dla ciebie. Słowo daję. Sylwia już jakąś ogromną zrobiła konkietę.

— A niechże jasne pioruny zatrzasną! z desperacyi ręce łamiąc odparł szambelan.

Grabski stał zagryzając usta; Sylwia nie wie-

działa co począć, Czeżewska ciągle przed nią trzymając bukiet, weiskała jęj go w ręce.

— Weż że! prześliczny jest! Proszę cię dumną z tego być powinnaś i szczęśliwą — wołała Wojska —przecież go na ulicę nie wyrzucisz!

Burzymowski nie mógł gniewu rosnącego pohamować.

— Gdybym tego chlystka, impertynenta, blazna jakiegoś, mosanie, co mi tu śmiał z bukietem tym wystąpić, dostał w moje ręce!! miałby się z pyszna! popamiętałby ruski miesiąc!

— Ale któż to być może? przecież nie wychodziłam krokiem! mruczała Sylwja.

— Dosyć było żebyś się w oknie sprezentowała! odparł Burzymowski — nie trzeba było się popisywać z twarzyczką!

Dżokej oddał bukiet? zapytał Grabski Czeżewskięj.

— Dżokej! dżokej! służąca powiada że był prześlicznie ubrany, w czapeczce aksamitnej, — przyjechał na bardzo pięknym gniadym koniu;— spiesźnie odparła Wojska.

Wszyscy patrzyli na zadumanego Grabskiego.

— Wiadomo wszystkim, począł zwolna Micio, że najpiękniejszych dżokejów ma książę Józef, a wszystkie konie stajni jego są gniade, bo to maść ulubiona.

Spojrzał na płonącą Sylwję, której twarzy-czka wstydem i radością pałała.

Burzymowski stał przybity, Czeżewska tymczasem wachała kwiaty, lubowała się niemi i trzymała je przed Sylwją, która jeszcze dotknąć ich nie śmiała, choć widać było że bardzo je pragnęła pochwycić, gdyby nie ojciec!

— Otóż to ta wasza śliczna Warszawka! gdzieś ra! Burzymowski, otóż to wasza galanterja paryzka. Nie znajomy ktoś djabli go wiedzą kto, śmić, mości dobrodzieju, obywatelskiej córce narzucać się z prezentami! *Hommage!* dałbym ja mu *hommage!* po bokach! trutniowi!

— Ale cóż to jest złego w tym hołdzie admiracji złożonym u stóp piękności; opryskliwie odezwiała się Czeżewska — nie potrzeba sobie robić jakichś wizji z niczego? któż zaręczy że to przysłał mężczyzna?

Proszę szambelana, na ołtarzach stawia się bukiety, a Pan Bóg się nie gniewa!

Grabski milczący, z rękami w tył założonemi po salce się przechodził.

— Ale! ale! co asindzka wygadujesz! mów sobie komu chcesz a nie mnie że to przysłał nie mężczyzna! zawołał szambelan gorączkowo. Właśnie by kobieta kobiecie pięknej bukiet posyłała! każda z was rywalkę gotowaby struć lub w łyżce wody utopić. Potrzeba dojść koniecznie sprawcę tej zuchwałej impertynencji, a potem zobaczymy co zrobić wypadnie; to moja rzecz, gdy o Sylwję chodzi u mnie żartów nie ma.

To mówiąc zbliżył się Burzymowski i raz jeszcze napis syllabizując smutnie głową potrząsał. W najprzykrzejszém położeniu była Sylwia nie śmiejąc się odezwać, nie odważając dotknąć ślicznego bukietu, choć w duszy była nim dumną i uszczęśliwioną. Główka jej się już tym paliła co mówił Grabski, że nie mógł być od nikogo innego tylko od księcia Józefa.

W tém Wojska na palcach zbliżyła się do jej ucha, zakryła chudą ręką i szepnęła cichutko.

— Bukiet to nie, ale przecie wiadomo, że kwiaty mają znaczenie — *Le langage des fleurs*, daje się jak bilet czytać. — Wytłumaczę ci każdy z tych kwiatków: Uwielbienie — miłość gorąca, — pragnienie zbliżenia się — wszystko to stoi tu wyraźnie, jasno jakby czarno na białem napisane było. Powiadam ci, na mój honor, nie ma najmniejszej wątpliwości.

Bojąc się aby ojciec nie posłyszał co Wojska mówiła, Sylwia ścisnęła ją za rękę.

— Cicho — zmiluj się, szepnęła — cicho — potém, potém!

Szanibelan namysliwszy się, zbliżał się właśnie do Wojskićj.

— Proszę mi dać ten bukiet! wołał, precz mi z tém na śmietnisko! precz na środek ulicy!

Czeżewska rzuciła się gwałtownie, zasłaniając bukiet zagrożony, — spojrzała nań oczyma zaiskrzonemi.

— Ale nie czyni że się pan śmiesznym, panie szambelanie! krzyknęła oburzona. Bukiet! cóż znaczy przysłany bukiet? przecież to przyjęte na całym świecie że się pośyla kwiaty znajomym i nieznajomym! Pan byś temu nadał większe znaczenie niż ma w istocie, narażając siebie i nas na śmiech! na drwinę! Piękna rzecz... Pruderja taka parafianska! Ja panu tego bukietu nie dam! słowo honoru! nie dam!

— Moj tatku! szepnęła Sylwja, cóż te śliczne kwiatki zawiniły; Wojska ma słuszość, proszę ojca! to nie ma żadnego znaczenia!

I zasłoniła kwiaty sobą od napaści ojca, który rękę po nie wyciągał. Grabski stojący na boku wcale się do tej sprawy mieszać nie chciał.

— Kuzynie! Miciu! stań że ty w obronie niewinnego bukietu! odezwiała się do niego Sylwja.

— Na prawdę, panie szambelanie, wtrącił Grabski posłusznie, rzecz cała nie warta aby ją tak brać na serio! Najlepij ładny bukiet postawić gdzieś w kącie i zapomnieć o tem. Rzecz cała nie warta abyś się nią tak burzył!

— Tak! ślicznie! i fakt spełniony mam przyjmę, milczeniem, akceptować! zakrzyknął Burzymowski, aby się nazywało że moja córka od nieznajomych trutniów, pierwszego lepszego szala-wiły przyjmje prezenta i homagja! Jutro jej gotowi przysłać co innego! to mi się podoba!

Grabski przystąpił do zburzonego ciągle Bu-

rzymowskiego i z cicha począł go łagodzić i uspokajać. Kobiety usunęły się na bok, a Czeżewska zręcznie skorzystawszy z chwili, cofnęła się z bukiem do drugiego pokoju, unosząc drogą pamiątkę, aby nie padła ofiarą ojcowskiego gniewu.

Szambelan dał się przecie ulagodzić i uspokoił nieco, a przynajmniej zamilkł. Sylwja przystąpiła tuż do niego podpieszczając trochę, co zawsze skutkowało.

Nie rychło jednak rozgniewany stary ochłonał, i gdy Grabski zaczął się żegnać, poszedł razem z nim na dół, zmuszając aby wstąpił jeszcze do jego mieszkania. — Sylwja wejrzeniem niemal wdzięcznem pożegnała kuzyna, przypominając mu że mieć będzie poleceń mnóstwo i że się go codziennie spodziewa widywać na swój służbie. Wiedziała dobrze filutka że nieczem mu więcej nad ten rozkaz przyjemności uczynić nie może.

Na dół zszedłszy strapiony szambelan z rozgniewanego jakim był na górze, stał się rozżalonym i nad wszelki wyraz zbiedzonym. Łzy mu się w oczach kręciły.

— Otóż patrz, mój Miciu, rzekł płaczliwie — patrz w co my tu przez moją słamazarność wpadliśmy! Jeszcze dwadzieścia cztery godziny nie upłynęły od przybycia, a już awantura! Awantura! Mówcie sobie co chcecie! taki to jest awantura! Sylwji jak nie, bo to dziecko, może się głowina zawrócić, a potem!!

Nie dokończył i jęknął.

— Niech no się pan uspokoi — a tak tego do serca nie bierze — odezwał się Grabski. Sługom potrzeba zakazać aby podobnych, a w ogóle żadnych podarków i posyłek od nieznajomych osób nie przyjmowały, nie zresztą o tém nie mówić i nie skarżyć się, nie rozgadywać. — Rzec istotnie małej wagi!

— Nie opuszczaj mnie, przyjacielu! rzucając mu się w objęcia z tragicznym wyrazem bólesci zawołał stary. W tobie nadzieja moja! Ja ufam ci! nie opuszczaj!

Rozstali się nareszcie, a Burzymowski padając na krzesło tak miał serce uciśnięte iż nie postrzegł nawet tego co mu niejaka mogło przynieść pociechę.

Na przeciwko niego w miejscu wydatném Żybek postawił był safianowe buty, które majster kunsztu szewskiego prędziej przyniósł niż obiecywał, wiedząc że pilno ich potrzebowano. Nie rychło jakoś szambelan wodząc po pokoju roztargnionemi oczyma, zobaczył je i zaraz mu się lżej na sercu zrobiło.

Był już pewnym że nazajutrz do kamienicy misjonarskiej pójść będzie mógł z rewerencją do kasztelanowej.

Ufał w to że później i Sylwję tam wprowadzić potrafi, aby pod opieką czcigodnej matrony, mogła być bezpieczną od zasadzek których się tak lękał.

VI.

Dni powszednich salon pod Błachą wcale nie miał wesołej fizygnomii. Obyczaje' gospodyni (wspomnianej pani de Vauban), słabe jej zdrowie, wypieszczenie, tony jakie sobie dodawała wszystkim zmuszając, aby się do dziwactw jej stosowali i kaprysom ulegali, nadawały mu cechę właściwą, a dość oryginalną.

Klasztorna cisza panowała przez wieczór cały. Nikt się tu głośniej odczuwać ani rozśmiać nie ośmielił, nieznoszono butów skrzypiących, ani śmielszego chodu. któryby zatętnił na posadzce. Światła wszystkie stały zwykle umbrelkami przyćmione, okna szczelnie zatulały firanki, drzwi w obawie przeciągów zamykano starannie a że przytém lękano się stuknąć niemi, każda taką

operacya odbywała się bardzo powolnie i z niezmiernemi ostrożnościami.

Znajdowali się goście w salonie pani de Vauban jak w pokoju śmiertelnie chorego człowieka, dla którego najmniejszy głos, najłżejsze niespodziane wrażenie zagrażać mogło niebezpieczeństwem. Słudzy, domownicy, sam książę przyzwyczajeni byli do tych wymagań delikatnej istoty, a grono osób większego świata, gdzieindziej nawykłe do swobody i hałaśliwego ruchu, tu zachowywało się z prawdziwie zdumiewającą uległością dla wydelikaczonej, kapryśnej francuski.

Dnia tego w salonie znajdowały się tylko trzy piękne panie i ona...

Slusznego wzrostu, pięknej jeszcze postawy, ruchów dosyć wdzięcznych, pani de Vauban mogła znęcić i zająć sobą chyba jako nierozwikłana zagadka. Na twarzyczce mocno przywiedlej, która nigdy klasycznie piękną nie była, ale mieć mogła wiele fizyognomii i życia — widać było znużenie, rozpieszczenie się i doskonale nadaną pewną dystynkcyę! sztuczną, niepozbawioną przesady.

Grała wielką damę z talentem niepospolitym i olbrzymią wiarą w siebie; chciała być istotą eteryczną. Jak prawie zawsze na świecie, silna wola i wytrwałość zapewniły jej zwycięstwo nad wszystkim co w sferę jej wchodziło.

Potrzeba tylko uwierzyć w siebie, a ludzie skłonią głowy posłuszne...

Niemając ani piękności, ani nawet szczególnego wdzięku, który ją często zastąpić umie, tą tylko przybraną dystynkcyą i elegancyą wyszukaną, zastępowała co jej brakło — urodzenie, imię, fortunę, znaczenie, wszystkie siły i środki, które innym często do niczego nie służą, bo ich użyć nie umieją. Ona z tą odrobinką ideału, jaką jej niegdyś wydzieliła natura, udając niby wyższą istotę potrafiła się za nią sprzedać i zostać powszechnie nznana za godną sfer najwybrańszych.

Niemając zbyt wybitnego pozoru komedyantki, była to skończona artystka w swoim rodzaju.

Zamiłowanie we francuskim tonie, w manierach paryskich, we wszystkich właściwościach wyższego towarzystwa europejskiego, czyniło polskie panie wielbicielekmi tej kobiety, która doskonale słabość ich wyzyskiwać umiała. Raz podbiwszy kilka wpływowych a słabych kobiet, w chwilach znużenia umiejąc pewną oryginalnością rozbudzić wyżytego księcia; zyskała pani de Vanban stanowisko odrębne, dziwne, którego dwuznaczności widzieć i rozumieć nie chciała. Świat nie miał nic do zarzucenia, bo go zuchwalstwo tej osobliwszej istoty, naiwny jej cynizm i obojętność na opinią — rozbijała.

Zostawszy raz królową tego podbitego w chwili nieopatrzności świata, nie dopuszczała się już zdetronizować. Było to prawdziwe arcydzieło polityki i zręczności.

Ks. Józef jeżeli kiedy był nią zajęty to na krótko, rozczarowany i ostygły od dawna znosił już tylko tę towarzyszkę, która jego obojętności widzieć nie chciała. Patrzała na wszystko przez szpary, byle móżdż dłużej grać swą rolę królowej.

Im słabszą dla niej okazała się społeczność polska, tem ona stawiała się względem niej zuchwalszą i więcej wymagającą, ufając że nikt nie będzie mógł, ani śmiał podnieść przeciw niej buntu. Książę Józef dla milego spokoju tolerował te dziwactwa udając, że ich nie widzi i nie rozumie, własną nawet rodzinę tej improwizowanej władczyni poświęcając.

Ufać sobie i chcieć silnie! mieć wolę i wytrwałość, cóżto za olbrzymie dźwignie! Vauban nie miała nic nad nie i — dziwną słabość a ślepotę dobrowolną tych co ją otaczali.

W czasie, gdy się to opowiadanie rozpoczyna, zajmowała w społeczeństwie stanowisko przywłaszczone, dziwne, wyjątkowe, jakie tylko w Polsce można było nieprawnie, niezasłużenie a tak małym kosztem pozyskać.

Być bardzo może, iż położenie księcia Józefa zmuszało go do odwrócenia uwagi od siebie, do wystawienia się światu jak najpłochszym, jak najlekkomyślniejszym człowiekiem, niemającym w życiu innego celu nad zabawę, rozrywkę i salonowe intrygi. Pani de Vauban do odegrania tej roli, do zasłonięcia go była mu potrzebna. Powa-

źniejszy, wiodąc życie nstronne, pracowite, książę byłby się prusakom stał podejrzanym, mógłby się obawiać wygnania lub niewygodnego dla siebie nadzoru.

Życie jakie prowadził umyślnie, ostentacyjnie, uspokajało i kazało się w nim nie lękać już zniewieścialego człowieka. Chcąc się do spodziewanych lepszych zachować czasów, książę Józef musiał przybrać ten pozór i maskę. w jakiej go widzimy, aż do chwili — przebudzenia.

W chwili, gdy czytelnika do salonu pod Blachą wprowadzamy, był on ogrzany nie do wytrzymania, gdyż jak światła i hałas tak chłodu owa istota delikatna znosić nie mogła. Było w nim prawie pusto. Około okrągłego stolika, na którym widać było dwie czy trzy listy składek, gdyż gospodyni zawsze na jakieś cele dobroczynne zbierała — kilka robót kobiecych zaczętych i parę książek francuskich, siedziały trzy panie składające poufale towarzystwo a raczej dwór gospodyni księcia Józefa.

Wszystkie trzy jaśniały wdziękami, cmiły się wzajem blaskiem swej piękności, a bardziej jeszcze zwiędłą, schorzałą żółtkłą francuską. Ufala ona tak tajemniczemu jakiemuś swemu wdziękowi, dla profanów niedojrzancemu, iż weale się zdawała nie obawiać porównania, a o płochego swego Pepi nie była weale zazdrosną. Węzeł, który ją z nim łączył, był jakiejś zagadkowej natury,

idealnej, niezmysłowej, gdyż pani de Vanban na miłości księcia Józefa uśmiechała się tylko i wcale im nie stawiała na drodze. Wyższą chciała się okazać nad gminną zazdrość i może tem też utrzymywała się na swem stanowisku.

Trzy piękne panie siedzące u stolika, rozmawiały i śmiały się po cichu: Vauban słuszna, wysmukła, powolnym krokiem przesuwała się po saloniku, czasem zatrzymując się przy nich, rzucając słowo jak wyrocznię, to znów błędząc milcząca z myślaniami swemi.

Na węzélku batystowej chnsteczki miała krople jakieś, które wachała, a w kieszonce bonbonjerkę, z której kiedy niekiedy dobywała i niosła do ust pastylki. Zdawała miała w istocie fizyognomię wielkiej pani, ruchy dystyngwowane, powagę nieco komedyancką. Pilnie się przypatrzwszy można było dostrzedz rąk pielegnowanych troskliwie, ale wcale nie arystokratycznych, a z pod maski rozpieszczonej faworyty przeglądał typ lndowy francuski. Oczy, choć przyémione powiekami, wejrzenie miały bystre i przenikające. Domyślać się było można, iż ta roztkliwiona i rozmiękła twarzyczka, na której najmniejszego śladu szczerzego uczucia nie było, w której panował chłód, niegdyś musiała mieć uśmiechać się zalotnie. Dziś już tej stawki do gry nie potrzebowała; udawała królowę i inni jej zalecać się i dworować musieli.

Trzy panie były jakby dobranemi trzema typami niewieściami tak, aby oko spoczywające na nich nie już do pożądania nie miało.

Była to cudna wiązanka, której każda barwa drugiej obok do podniesienia jej potęgi i blasku służyła.

Pani Józefowa Wielhorska, (Dembińska z domu) była najwybitniejszą między trzema, niemal włoska piękność z pałającemi oczyma czarnemi, z bujnym włosiem kruczym, z płcią świeżą i delikatną, owalem twarzy rafaelowskim — miała więcej coś niż pospolite włoskie piękności, których zmysłowy wdzięk każe zapomnieć o wszystkim, czego im brakuje. W czarnych jej oczach płonęła iskra inteligencji żywej, dowcip ostry, pojęcie szybkie. Posąg ten cudny miał w sobie ducha, który promieniał przez wpół przezroczystą jego powłokę. Piękność jej była majestatyczna, nierzająca, ale zarazem budziła obawę siłą jaką zdradzała.

Choć naówczas sentymentalność była w modzie, pani Wielhorska wcale się nie siłała na nadanie sobie tej cechy; śmiały się ślicznie jej usta różowe, iskrzyły oczy, cała twarzyczka jaśniała życia weselem i do życia ochotą.

Widać z niej było, że wołała na nie spoglądać ze strony jasnej niż tragicznej, i wyśmiewać się z niego raczej niż płakać. Nawet spojrzenie na przyjaciółkę można było posądzać o odrobinę

politowania i szyderstwa. W towarzystwach lękano się pani Józefowej, chociaż złośliwą nie była, ale Bóg ją stworzył tak, że widziała zawsze na-przód słabe strony, chwytala ulomności i nie mogła się z nich nie uśmiechnąć.

Obok niej siedząca pani Stasiowa Potocka, Sołohubówna z domu, jak tamta za rzymiankę, uchodzić mogła za grecką Kameę, tak cała jej postać od stóp do głowy była regularnie, klasycznie, nieposzlakowanie piękną.

Miała też chłód i powagę greckiego posagu, który zbytniego uczucia i namiętności się strzeże, aby ból lub śmiech nie nadwerężył spokojnej harmonii linii jego, nieśmiertelnie pięknych w swej prostocie.

Piękność to była mniej przemawiająca, a jednak sympatyczniejsza, bardziej niewieścia, skupiona w sobie, nie wybiegająca okiem i duszą poza szranki rodziny i kółka, w którym żyła.

Uśmiech był wdzięczny, ruchy naturalnie i niewymuszenie dystyngwowane; słowem była to piękność bez skazy, choć — tego ducha rozbudzonego, jakim oczy Wielhorskiej promieniały, nie miała w sobie. Rzekłbyś, że mieć go mogła a nie chciała, że jej dosyć było być tak sobie naturalnie, poprostu, tylko jak anioł śliczną. Mogłoż najdowcipniejsze słowo wymowniejszem być nad jej uśmiech i spojrzenie?

Obok tych dwu bogiń trzecia, choć wiekiem

im rówieśnica, wydawała się niby dziewczką, niby w sukienkę przybrany incognito, dorosłym amorkiem.

Była mała, biała, pulchna, złotowłosa, ze ślicznemi oczyma niebieskiemi. podobna do kwiatka, do enkierka, do czegoś miłutkiego, słodkiego, łagodnego, smutnego... Wdziękowi tej twarzyczki trochę nadąsanej, której równie łatwo było o śmiech jak o łzy — mało kto się mógł oprzeć. Typ ten blondynki na pozór powietrznej, słabej, wiotkiej, z mgły i promieni księżyca nlepionej, zamykał w sobie najfantastyczniejszą istotę do kochania stworzoną, potrzebującą kochania jak powietrza, żyjącą tylko *miłostkami*, jak kanarki cukrem. Tego co się — *miłością* nazywa, nie znał wcale wiek XVIII.

Piękna pani Cichocka, była skazaną na szukanie prawdziwego ucznia nadaremnie. Uroczą to była istota, którą szczególną opieką i przyjaźnią najczulszą zaszczycała pani de Vanban. Nie mogąc się nawet obejść bez niej na chwilę, gościnność jej ofiarowała pod Blachą.

Z liczniejszego codziennego towarzystwa tylko trzy te piękne panie same pozostały i reszta gości powszednich zajęta była przygotowaniami do jutrzejszego teatru, w którym uczestniczyć miała.

Książę Józef także się jeszcze nie ukazał w salonie, a zapytany o niego kamerdyner oświadczył po cichu, dyskretnie, że miał poufałych gości u siebie.

Rozmowa płynęła swobodnie o sprawach po-

spolitych, jedynych jakie świat ówczesny zajmowały. Mówiono kto się w kim i jak kochał, kto kochać przestawał, kto miał zacząć, kto z kim się mógł ożenić albo rozwieść.

Właśnie piękna owa blondynka pani Cichocka, czekała na rozwiązanie swych ślubów w nadziei zawarcia nowych, do których serce jęj wzdychało. Mówiono po cichu o dawniejszych zabiegach Kalinowskiego około Protównej Potockiej, o wychowancu Stanisława Małachowskiego księżniczce Radziwiłłównie, którą dziwacznie a rozmaicie swatano, o blizkiem ożenieniu Nakwaskiego i t. p. Z trochę złośliwości odzywano się o domach, które w związku z Blachą nie były i nie hołdowały pani de Vauban, wyśmiewano je ze staroświeckich szorstkości, kontuszów, mowy i obyczaju. Wszystko to płynęło lekko, dowcipnie, potrącając niby skrzydlami motyla o ludzi, wypadki i serca.

Pani Wielhorska opowiadała coś pani Stasiowej po cichu, śmiały się we dwie zbyt uszczęśliwione, by ich weselość roztrzęsiona nie ściągnęła nareście uwagi zadumanej głęboko gospodyni domu.

Kilka razy wybuchy trochę głośniejsze wywoływały drgnienie i przestрах z podrażnionych nerwów francuzki. Stała u stolika, popatrzyła długo, znacząco na panią Wielhorską i zapytała w końcu cicho, głosem omdlałym.

— Przypuścież mnie, proszę, do tój wesołej tajemnicy, która was tak szczęśliwemi czyni.

Trochę leniwo podniosła ku niej oczy pani Stasiowa, nie spiesząc z odpowiedzią, jakby pewną była że ją Wielhorska wyręczy.

Ta główką potrzasała.

— Tajemnica ta właśnie dla was powinna nią pozostać. I znacząco palec położyła na ustach.

— *Vous m'agacez!* — głosem słabym odezwała się krzywiąc usteczka nie różowe królowa. — Mówcież proszę, co to być może?

— Kiedy wam mówię że to dla waszego spokoju tajemnicą pozostać powinno! — powtórzyła wolno hrabina Józefa z przybraną powagą.

— *Bon!* I dlatego właśnie zapewne oznajmujecie mi że straszliwa jakaś tajemnica, jak miecz Damoklesa, ma być zawieszona nad moją nieśczęśliwą głową? Jakto trafnie! — odczuwała się Vanban. — Jakto uspakajająco dla mnie.

Nieruszając się z miejsca czekała gospodyni aby jej rozkaz został spełniony.

— No, zmiłujże się hrabino, — po chwili oczekiwania dodała — wyjaw mi nareście co to jest? Coś tak groźnego dla mnie!

Uśmiechnęła się szydersko, jakby w żadną groźbę uwierzyć jej nie było podobna.

— Groźnego!! nie! odpowiedziała Wielhorska — ale pocóż macie wiedzieć o wszystkiem, co jak chmurka po niebie przechodzi i znika?

Zasłaniamy ci światło aby nie raziło twych oczu, *à plus forte raison*, trzeba twym słabym nerwom i czulemu sercu innych wrażeń oszczędzić.

— Ale doprawdy, droga hrabino, zaczynasz mnie niepokoić i trwożyć! Cóżto być może? — Mów, proszę bardzo — dodała Vanban.

Pani Stasiowa podniosła ku niej oczy, lecz zdawszy na sąsiadkę całą sprawę, nie odezwała się sama.

Z szyderskiej minki pani Wielhorskiej domyśleć się było można, iż tak bardzo groźnego nie zająść nie musiało.

— *Eh bien* — pieczesz mnie na wolnym ogniu! *ma chérie*, szepleniącym głosikiem pokaszlując — odczwała się Vanban znowu! — *De grace!*

— Więc mówię, rozśmiała się hrabina. Książę nasz jest znowu mocno zajęty, tak jak to on zwykł bywać, gdy coś zupełnie świeżego, nieznanego zobaczy, gdy twarzyczka nowa uderzy go jak jakieś nadzwyczajne zjawisko!

Il lui faut du nouveau, n'en fut il plus au monde!

Vanban skrzywiła usta i ruszyła obojętnie ramionami, nieokazując najmniejszego wzruszenia.

— Tylko tyle?? — spytała — A więc, trzeba mu z blizka pokazać tę czarującą twarzyczkę, to najlepszy rozczarowania go sposób... Mówcież? kto jest ta czarodziejka nieznana?

— Nikt z nas jej niewidział jeszcze — ale —

W tej chwili jakby na zawołanie uchyliły się

drzwi ostrożnie i na paluszkach idący ukazał się szambelan Pokutyński wyświeżony, wyelegantowany, odmłodzony. Sklonił się nieznmiernie nisko gospodyni, potem damom, i gotował się powiedzieć coś wysmażenie grzecznego na powitanie, gdy hrabina podniosła się z kanapy, i dramatycznym ruchem wskazując palcem przybywającego gościa, — odczuwała się (zawsze naturalnie po francuzku).

— Ten ja widział!!

— Ja? kogo? — spytał cofając się niby przelekły a trochę zdumiony Pokutyński.

— Tę piękną pannę o której dziś głoszą, że nas wszystkie ma zaćmić i wy kierować na Kopciński, odparła pani Wielhorska.

— Kogo? kto? co? — powtarzał coraz bardziej zakłopotany szambelan — Nie mam daru wieszczego, nie potrafię odgadnąć.

— Kogo! *voilà!* Właśnie to najtrudniejsze, aby nazwisko jakieś szlacheckie raz słyszane, przypomnieć czy odgadnąć! śmiejąc się rzekła hrabina. — Uderz się pan w piersi, — szukaj w sumieniu grzechu i wyznaj go ze skruchą.

— Przepraszam, nie nierozumiem, o czém, o kim mowa?

— O ślicznej, uroczej, olśniewającej, cudnej dziewczycy, którą ojciec z za kordonu tu przywiozł na karnawał, którą wczoraj zaraz ksiązę Pepi zobaczył w oknie, i tak go jedném zwyciężkiem

podbiła wejrzeniem, że natychmiast bukiet jęj posłał.

Vauban melancholicznie dwa razy głową poruszyła.

— A! teraz jestem w domu! — odezwał się Pokutyński. — Mowa być musi o córce mojego kolegi szambelana Stanisława Kostki na Burzymowie Burzymowskiego, kawalera orderu św. Stanisława — i —

Pani Vanban zwróciła się ku niemu z rączkami niedbale założonemi jedna na drugą.

— A! opisz że mi pan tę piękność! — szepnęła.

Pokutyński głowę skłaniając ręką, zatoczył do koła.

— W obliczu tych gwiazd porywać się na opis skromnego wiejskiego kwiatka! — zawołał wdzięcząc się.

— Szambelanie, pan wiesz że tu u nas w tym salonie najpierwszą cnotą jest posłuszeństwo! — rzekła hrabina z przybraną powagą.

— Panna Sylwia Burzymowska, poczał Pokutyński.

— A! imię ma Sylwii! ładne imię! — cicho szepnęła jedna z pań.

— Pannę Sylwię dwa razy tylko w życiu mojem miałem szczęście z daleka oglądać; naprawdę zaś raz chyba, bo tego że ją przez okno patrzącą widziałem chwilkę — nie liczę.

— Ale opiszże nam ją! domagała się Vauban.

— Lat, niewiem, wątpię żeby miała dwadzieścia, wygląda na osiemnaście, wzrost dosyć słuszny, oczy czarne, włosy ciemne i bujne, usta małe, nóżka zgrabna. — Oto wszystko, — rzekł Pokutyński, licząc jak z rejestru.

— Wiesz szambelanie, że opis doskonały do pasportu — wtrąciła Wielhorska — dla nas niewystarczający. Nie masz najmniejszego talentu do portretów! Rysopis ten mógłby doskonale służyć dla mnie i dla tysiąca innych, ale po nim tyle wiemy co — wprzód.

— Ja zaś tém służę co mam, i więcej ofiarować niemożę, — odparł kłaniając się szambelan. — Dodam, młodziutka, nad wiek rezolutna i śmiała.

— Majorowa ją bardzo chwali — dorzuciła Cichocka. — Zdaje mi się, że się o nią wyraziła — *que c'est l'etoffe d'une grande beauté*.

— A! przerwała hrabina z wymówką się zwracając do szambelana, widzisz pan jak my kobiety wielką mamy wyższość nad wami. Pan ją tak samo widziałeś jak majorowa, i pan dajesz rysopis suchy, a ona w kilku słowach doskonałą charakterystykę.

— Pani hrabino, spiesźnie odstrzeżił Pokutyński. — Płeć pięknej wyższość nad naszą nigdy nie podawałem w wątpliwość, a z majorową na żadną w świecie broń nie ośmieliłbym się do

walki wystąpić, pewien że ona musiałaby zawsze zwyęiężyć!

Ostatnie wyrazy troelę złośliwą kryły w sobie alluzję.

— Więę to jeszcze — dzieeko? — zapytała Vauban.

— Niemajęę lat dwudziestu — odpowiedział Pokutyński, — dzieeko ale bardzo rozwinięę, — i wąpię żeby się już lalką nieżywą bawić eheiało, a żywy eo się w jęj ładne łapki dostanie — no! będzie się miało z pyszna. Za to mogę zaręczyć!

— *Dites - donc!* gdzież to te eudo będziemy mieli szezęęie oglądać? — zapytała pani domu.

— Najprędzję, sądzę że jutro w teatrze — odezwał się Pokutyński. Jakkolwiek poezciwy, bojaźliwy ojeiee obawia się ją puszezać w świat wielki, ku któremu panna największą eiekawością pała; ehoćby on ją rad od wszystkich oezu zakryć i osłonić, sądzę że piękna panna zrobi eo zeehee...

— Ojeiee zawojowany? — pytająęo rzueila hrabina..

— Dobry, miękki ezłowiek, a eórka jedy-naezka! — mówił Pokutyński — zresztą któż z nas nie jest, nie był, nie będzie zawojowanym przez panie?

— Tośmy słyżwały już! — szepnęła Wielhorska. — *Connu!*

— Ale cóż to są za Burzymowscy? — odezwiała się Potocka. Zdaje mi się żem słyszała o jakiéjs — szambelanowój tego czy podobnego imienia, która swojego czasu miała wielki rozgłos na świecie, uchodziła za piękną, za dowcipną — i —

Spuściła oczy nie kończąc.

— To była właśnie rodzona matka naszój heroiny — potwierdził Pokutyński i dodał poczekawszy trochę.

— Czyż — księżę mógł ją już widzieć? gdzie? jak? Zdaje mi się że już o tém słyszałem, ale sądzę że to niepodobieństwo.

— Siedziała w oknie, w którém i pan ją widziałeś przecie — Twarzyczką z za szyby miała się bardzo podobać..

Szambelan ruszył ramionami.

— Czy księcia dziś nie będziemy widzieli? — zapytał oczy podnosząc ku pani Vauban.

— Niewiem! Ma pono jakiegoś tajemniczego gościa u siebie — obojętnie doń odparła gospodyni.

Uśmiech jój wymuszony dowodził, że to co dla drugich było tajemnicą, dla niój być nie mogło. Pokutyńskiemu nie wypadało nalegać.

Rozmowa wprędce zwróciła się ku jutrzejszemu teatrowi i ploteczkom codziennym.

Gdy się to działo w przyćmionym salonie pani de Vauban, w pokoju sypialnym księcia Jó-

zefa — dwie osoby siedziały na eiehej, poufaléj rozmowie.

Sypialnia to była weale zniewieścieiałości nie dajaea się domyślać, prawdziwie żołnierska i obozowa. Synowea królewskiego niktby w niej nie odgadł.

Urządzenie jéj było nadzwyczaj proste, skromne i prawie zaniedbane. Niemogło ono być dziełem wypadku, tkwiła w téj surowości myśl jakaś. Tam gdzie księcia widywano, był wytwornym i dbałym o eleganeyę, tu gdzie sobą był, gdzie oprócz zanfanyeh przyjaeiół, nikt nie wehodził, — pozostał żołnierzem wyezekującym hasła i stojącym na ezataeh... Dosyć obszerny pokój, miał stół w pośrodku sukmem okryty, jedną sofę przy śeianie dobrze wyszarzaną, proste łóżko żelazne burką historyezną okryte, kilka krzeseł wysiedzianych, a na śeianie parę rysunków wyobrażających bitwy i konie, trochę broni zawieszonéj na kołkaeh bez żadnego starania o wdzięk i ozdobę.

Uderzała ta prostota umyślna, będąca w sprzeczności z życiem pańskim, z obyczajami gdzieindziej arystokratycznymi. Bohater z pod Sabaezu, był tu zawsze tylko żołnierzem, zapominającym, że miał nieszcześliwego stryja królem.

Takieh sprzeczności w życiu pięknego Pepi było mnóstwo. Nie był to jeden z tych ludzi eo się na pierwszy rzut oka poznać dają; kilku odmiennych na przemiany pokazywało się w księ-

ciu Józefie i czyniły go nie do pojęcia coraz innym. W tych latach był on może odpoczywającym i znużonym beczynnością dawnym wodzem, trudniejszym do zrozumienia i wytłumaczenia, niż kiedykolwiek.

Wszystko zdawało się dla niego obojętnem, przyjmował chłodno co go spotykało, nie dawał się niczem poruszyć bardzo. Miłostki, zabawy, konie, towarzystwo łatwe a mile, zdawały się go pochłaniać zupełnie.

Żołnierz, dowódzca, obywatel kraju, (za którym tak zatęsknił, iż z Wiednia, w którym mógł być jak w domu, pod pruskie panowanie powrócił) znikał w nim teraz jakby umyślnie zatarty jakimś nowym typem człowieka wyżytego na pozor, niemającego już innego celu na świecie nad wygodne przejście pozostałego drogi kawalka.

Ale kto znał bliżej księcia Pepi, począwszy od jego ukazania się młodziutkim chłopakiem w czasie kaniowskiej podróży, potem żołnierzem walecznym pod Sabaczem walczącym z Turkami, potem wodzem rozhułanej tężyzny, co razem z nim poszła do wojska, którego on został wodzem naczelnym — bohaterem tysiąca narzucających mu się przygód miłosnych; — podkomendnym uległym jednego ze swych podwładnych (Kościuszki) — ten zwątpiłby może o rzeczywistości terazniejszej metamorfozy i szukał jej znaczenia w jakichś rachubach na przyszłość.

Kto wie co mogła kryć ta obojętność przesadzona, to afiszowanie lekkomyślności, wyżycia, apatyi?

Trzydziestokilkuletni książę Józef nie był już zgrabniutkim chłopakiem cudnej piękności rysów i postawy, któremu przyklaskiwano z zapalem, gdy czasu sejmu czteroletniego puszczał się w tany z prześliczną Julią Potocką. Rysy twarzy jego nosiły już na sobie ślady życia gorączkowego, włosy na głowie przeredły mu znacznie, nabral trochę ciała, ale lata nie odjęły mu jeszcze były całkiem młodości serca i ducha. Wejrzenie czasem strzelało z oczów jak błyskawica, słowo wybiegało z ust dowcipne ostre lub serdeczne, a po chwili wracała, jakby przywdziana suknia, owa dawna apatya i płochość, z którą się chciał i lubiał popisywać przed światem.

Otoczony ludźmi ekkiemi, przybierając ich ton, zupełnie z niemi stojąc na równi, czasem się wydawał zrezygnowanym człowiekiem, który cierpi i czeka, który poprostu mówiąc — przyeczaja się.

W sypialni księcia dwu ich tylko siedziało. Drugim był, równego mu mniej więcej wieku, przystojny jeszcze, ale daleko mocniej niż książę wiekiem zjedzony mężczyzna lat trzydziestukilku, wyglądający na czterdzieści z okładem, arystokratycznych, cudzoziemskich rysów twarzy. Leżał on wygodnie na sofie i trzymając długi cybuch turecki w ustach, bawił się nim niepaląc z niego.

Książę stał przy nim patrząc nań z wyrazem czułości. Z twarzy widać było, że zapomniawszy o wszelkich względach zwykle go do grania jakiejś roli zmuszających, przed tym przyjacielem, chciał być samym sobą.

W obejściu się ich poznać było można najserdeczniejszych druhów. rozmowa płynęła tak ożywiona, poufna, serdeczna, jakby oba na nią długo z upragnieniem czekali.

Był to młody książę Ludwik de Ligne, niegdyś towarzysz broni, przyjaciel młodości, jedyny człowiek, dla którego książę nie miał tajemnic.

Dwie te twarze zarówno arystokratyczne, równie piękne, jednoletnie, nastrezczały się do porównania. Wyszłoby ono na korzyść Pepi. Syn najdowcipniejszego z ludzi XVIII w. nie miał wielkich i świetnych ojca przymiotów, twarz jego nie mówiła nic oprócz że żył wiele, gorączkowo, cierpiał i w końcu przestał już dbać bardzo o to, co go czekać mogło.

Na twarzy gospodarza było coś więcej jeszcze, — była jakby obietnica, że z pod popiołów iskra może wytrysnąć, że ten umarły dziś, potrafi bohaterem zmarłychwstać.

Ks. Ludwik de Ligne był tem co francuzi zowią, *un homme fini* — on sam już się takim uznawał.

Najsmutniejsza to rola w świecie, bo wśród ludzi niepotrzebna nikomu, a ciężka dla tego co ją nosi.

— Słuchaj, Pepi — szeptał niedbale na ka-

napie leżący książę, który do Warszawy przybył *incognito* i parę dni tylko na osobności miał z dawnym spędzić przyjacielem. — A! ty! ty jeszcze jesteś nieskończenie młodszym odemnie! Jesteśmy prawie rówieśnikami, zdaje mi się, że życie prowadziliśmy prawie jedno, w tobie zostały na przyszłość zapasy, a ja — jestem wyczerpany zupełnie! Do kropli! — dodał wzdychając książę Ludwik.

— Tego sobie nigdy mówić nie trzeba! — odparł Pepi cicho...

— A cóżto pomoże?

— Powinno się do ostatka sił próbować — niespodziane się znaleźć mogą!

— Niestety! Im więcejbym się wysilał na siłę, tembym mniej znalazł jej w sobie — rzekł de Ligne. — Nie! ty, ty jesteś istotą uprzywilejowaną, stokroć szczęśliwszą odemnie!

We wszystkim! — dorzucił po chwili.

— Naprzykład? — zapytał Pepi.

— A, naprzód już, żeś miał rozum nigdy się nie żenić! Znasz moje losy — ciągnął książę — pamiętasz ożenienie. Umyślnie sobie wybrałem kobietę nie piękną, aby jej wierności dla mnie być pewniejszym. Brak wdzięków nie uchronił mnie od nieuchronnego losu wszystkich mężów ¹⁾. Toby

¹⁾ Własne wyrazy z listu księcia de Ligne do księcia Józefa, który mieliśmy w ręku. Żonaty był z księżniczką Massalską. P. A.

mnie zresztą nie obchodziło tak bardzo, ale uwolnić się od żony nierównie mi trudniej przyszło niż się ożenić. Zjadły mnie kłopoty, gniewy...

Książę Józef się uśmiechał.

— *Tempi passati!* — rzekł. — Nie trzeba już starych blizn rozdrapywać. Tyle jest ślicznych kobiet na świecie, które ci za twoją brzydką i niewierną zapłacą.

— Mustarda po obiedzie! — rozśmiał się smutnie książę Ludwik — nie mają już dla mnie kobiety najmniejszego uroku.

— A! to niepodobna — przerwał wesoło książę Józef. — Kobieta może w końcu znużyć, ale kobiety nigdy. Ja kocham się całe życie i to mnie na świecie trzyma. — Gdy nie będę mógł zająć się żadną, choćby na dwa dni — każę się pochować!

— Jesteś niepoprawny — odezwał się de Ligne — nienasycony. Zdaje mi się, żeś już powinien był wszystkie niewieście typy wyczerpać, wszystkie rodzaje piękności przekochać, że dla ciebie nic nowego nie powinno być na świecie.

— A! *Louis!* Co pleciesz! każda kobieta jest zagadką nową! — przerwał Pepi. — Czy może być coś ciekawszego nad te Sfinxy?

— Które — nieodgadnięte pożerają — dodał de Ligne.

— Tych co się im zjeść dają! — odparł Pepi.

— Nie — *cher Pepi* — zawołał gość — ty się bałamucisz! Tyś znudzony więc się rozrywasz! ale kochać się ty nie możesz...

— *Pardieu!* więcej ci powiem, gotowem się kochać platonicznie — zawołał książę — nie dalej jak wczoraj, zakochałem się jak student i to od pierwszego wejrzenia!

Książę de Ligne odwrócił się na bok, położył i serdecznie śmiać się zaczął, cybuch wypadł mu z rąk i potoczył się na ziemię, ramiona mu się trzęsły. Weselości szyderskiej nie było końca.

— Cóż na taką eskapadę do platońskich sfer — powiedzą pewne osoby, które sobie roszezą pewne prawa? — spytał de Ligne.

— Powiedzą — co zechcą — to mi zupełnie jedno! — rzekł Pepi — Nigdy nie zważałem na to, ile gderania i wyrzutów ma mnie satysfakcya zakochania kosztować!

Kocham się, a gdy się tego i szczerze zakocham — wiesz, uczucie ma tę siłę tajemniczą, iż wywołuje wzajemność, gdy jest prawdziwem. Jestem przekonany tak o tem, jak — iż gdy ja kochać przestaję, muszę przestać być kochanym.

— Co za cudownie wygodna teorya! — wołał de Ligne.

— Ja ją sądzę prawdziwą, najprawdziwszą — ciągnął dalej książę Józef. — Kobiety płaczą i upierają się choć nie kochają, chcąc być jeszcze kochane, ale to sprawa ich miłości własnej.

— Dalbyś pokój teoryom — przerwał de Ligne — powiedz mi co lepiej o nowem bóstwie, które cię w sfery platońskie zagnało! *Pepi platonique!* — I śmiał się.

— Czekaj, nie mogę nic powiedzieć, bo go nie znam — śmiejąc się odparł Pepi. — Ledwie z trudnością dopytałem się nazwiska, barbarzyńsko brzmiącego, ale ona — wydała mi się — zachwycającą. Lilia kiedy się jej pączek ku słońcu otwiera...

— *Sapristi!* Co za poezya! a nazwisko barbarzyńskie! Masz widzę pasyę teraz do wieśniaczych spódnicek, czerwonych rąk i naiwności głupkowatych.

— Mylisz się na ten raz, *c'est pas ça*. Mówią, że to jest osóbką bardzo przyzwoitą — rzekł książę. — Na nieszczęście! młodziuchne to prawie dziecko, a ja mam respekt dla młodości i niewinności...

— Cha! cha! cha! Jakby dla ciebie było co świętego! — odparł de Ligne — ty rabusiu sere...

— Przepraszam cię, — gorzej czy lepiej sobie mnie wyobrażasz, niż jestem. Ludzie mnie okrzyczeli... W naszym arystokratycznym świecie wolno wiele, w pocziwych szlacheckich sferach, gdzie wszystko biorą na seryo, należy poszanować wiarę w człowieka i w uczucie.

Książę zrobił minę poważną; leżący na kanapie spoglądał nań szydersko.

— *Est modus in rebus!* — dodał. — Pepi wyda swój ideał za jednego z licznych przyjaciół — — rzecz będzie skończona!

— Ty, Ludwiku, jak widzę, daleko jesteś w tych sprawach zepsutszym odemnie — odezwał się książę — ja, przyznaję ci się, o niczémbyś podobnym nie pomyślał. — To dowód że ja jeszcze kochać mogę, miłością najczystszą, idealną, gdy ty już zszedłeś na rozpustnika.

— Jak wszyscy starzy! jak wszystko stare, zepsułem się — odparł de Ligne smutnie. Wszakżeśmy od tego zaczęli rozmowę, żem ja się obwiniał o zestarzenie, a ciebie o nie posądzał. Teraz zaś tylko zazdroszczę młodości.

Książę się zamyślił trochę.

— A! tak — odezwał się melancholicznie, każda miłość nowa młodość nam daje nową, wraca jęj uczucia! A tak to dobrze być choć trochę młodym, choć na krótko...

Urwała się rozmowa, de Ligne poziewał.

— Powiedz że mi — mruknął po namyśle — dlaczego wybrałeś sobie Warszawę na miejsce pobytu, w Wiedniu by ci było weselej?

Książę nśmiechnął się.

— To może trudno mi ci będzie wytłumaczyć, — rzekł, — mam jakieś przeczucie i wiarę, że tu będę kiedyś, — na coś potrzebny... Czekam...

— Na co? — zapytał de Ligne.

— Niewiem sam, na spełnienie moich przeznaczeń, — rzekł książę Józef. — Mam tę pewnośc w duszy mojej, że jeszcze schwycę za szablę co wisi na ścianie, w dzieję tę burkę i pójdę z moimi gdzieś walczyć, a może zginąć, że nie zginię tu marnie pod czną opieką pocziwego Koehlera..

— Marzenia polskie! — zaśmiał się de Ligne, — dzieciństwa! — Prusy są silne, panowanie ich tu ustalone, miałabyś ochotę wejść w ich służbę?

— Nigdy w świecie! — gwałtownie zawołał książę — nigdy! — Niech to sobie będą marzenia, — zostaw mnie z niemi. Nie mówmy o tém.

— Owszem ja chcę o tém mówić z tobą, aby cię z tych mrzonek obudzić, — odezwał się de Ligne.

— Kiedy mi z niemi dobrze! — przerwał książę.

— Ale niepodobna abyś się z niemi nie zdradził — przerwał de Ligne, prusacy są podejrzliwi. Wyczytawszy w twój duszy czego pragniesz, a co dla nich miłém być nie może, wyrugują cię ztąd. Jeśli ci tu dobrze, używaj reszty życia, nie myśl o niczém więcej.

— Naówczas i żyćby już nie warto — odezwał się Pepi. Z tobą ja mówię poufnie z duszy w duszę mój Lndwikn, zresztą któżby się z życia domyślił że ja codzień na tę szablę patrzę, że mi drży ręka, serce do niej bije i lży się

kręcą. Przypatrz się życiu memu, to doskonały parawan na zasłonięcie tych marzeń, których nikt nie ma ani najmniejszego pojęcia. Widzą mnie zajętego kobietami, kołami, swawolnego, pustego, otoczonego ludźmi dobranymi umyślnie tak, aby dwór mówił za pana; jakże chcesz by mnie o coś posądzać mogli?

Tego ja chcę — zamydlam im oczy, ściskam ich, kłaniam się, jesteśmy z nimi w najpiękniejszej zgodzie — a — słuchaj! — dodał silnie książę, słowo ci daję na to że tą szablą tłuc ich będę!

De Ligne ruszył ramionami.

— Dużo w tobie Polaka zostało! — rzekł. — Sądziłem że jesteś wyleczony i z polonizmu i z heroizmu, żeś sobie wyperswadował sławę bohaterów.

— Nie! zaprawdę, nie! — wykrzyknął książę. — Wiele rzeczy mi się w życiu wyśniło i z przepowiedni sprawdziło, jestem pewny że mi Pan Bóg da nie inaczej ginąć jak z żelazem w rękę i po żołniersku.

Towarzysz podniósł się nieco, patrzył na mówiącego i śmiał się.

— Z marzeniami mając do czynienia, — rzekł: abdykuję; nie mogę się bić z widmami. Przyznam ci się jednak, iż rzeczywiście za tak młodego i poetycznego cię nie miałem, ani za takiego dyplomatę. *Que diable* zdaje ci się że po-

tomków wielkiego Fryderyka w pole potrafisz wyprowadzić i że oni ci się oszukać dadzą.

Książę wása pokręcił.

— Nie oszukuję ich — odparł, — jestem spokojny i trzpioczę się. Tłumię w sobie uczucia, z któremiby popisywać się nie w czas było. — Zdziwią się trochę, gdy Sybaryta siądzie na koniu.

Skończył uśmiechem.

— O tyle o ile tu widziałem i słyszałem co się kolo ciebie dzieje, kochany Pepi, — dodał de Ligne, — muszę przyznać, że komedję z prusakami grasz weale nie źle, ale czy do końca swą rolę utrzymasz?

— *Coute que coute!* — przerwał książę.

Zapukano leciuchno do drzwi, książę Józef zwrócił się ku nim z miną nadąsaną, popatrzył na towarzysza i szybkim krokiem do drzwi pospieszył z widocznym zamiarem pozbycia się natręta.

Stało się jednak inaczej niż chciał. Pukającym był szambelan Pokutyński. Książę wiedział już o jego bliższej znajomości z ojcem pięknej twarzyczki i potrzebował z nim mówić. Zobaczywszy go u progu zwrócił się do przyjaciela i zapytał.

— Pozwolisz?

— Proszę cię, niech ja nie przeszkadzam w niczém.

Wprowadzony Pokutyński wszedł ciekawe

wejrzenie rzucając na sofę, z której książę de Ligne powstawszy całkiem, milezący ukłon oddał mu zdaleka.

— Mój dobry przyjaciel, szambelan dawny stryja mego, Pokutyński, — odezwał się książę prezentując. Wprowadzonemu zaś dodał cicho.

— Najlepszy mój przyjaciel młodości, ale — w surowém *incognito*. Dlatego ci nawet nie mówię nazwiska, odgadniesz je sobie.

Pokutyński uśmiechnął się tylko, odgadnąć mu to *incognito* było bardzo łatwo.

Pepi poufale położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany przyjacielu, poratuj mnie! Córka twojego przyjaciela i kolegi, *et les amis des nos amis, sont nos amis*, zawróciła mi głowę swoją pięknoscia. Zapomniałem, jakże się ten kolega zowie? Borzykowski?

— Nazywano go dawniej na dworze J. kr. Mości *Je Burzymowski*, — rzekł złośliwy Pokutyński.

— Jak? jak? dlaczego?

— Niegdyś zapukał był do gabinetu króla, który zawołał: *Qui est là?* na co on swoją domorosłą francuzczyzną odpowiedział: *Je, chambellan Burzymowski*.

Książę de Ligne ze śmiechu położył się na kanapie, książę Józef namarszczył nieco.

— A! rozumiem, — rzekł, — ojciec więc jest

śmieszny polonns stary, miałażby córka być w podobnym rodzaju?..

— O! wcale nie! — prędko podchwycił Pokutyński, — córka nie a nie do niego niepodobna. Cudnie piękna, co już W. ks. Mość sprawdziłeś naocznie, bardzo śmiała i dowcipna. Wychowanie staranne, wsi na nią nie znać.

— Przepraszam cię, — przerwał książę Józef, — właśnie tём jest wieśniaczką, że ma odwagę być sobą, której nasze panie nie mają. Wszystkie są jak w jednćj formie nlane i do siebie podobne. Nie prawdaż szambelanie, nie uważałeś tego? Gdy są cokolwiek samoistniejsze, wówczas naiwne chornją na rozum, a rozumne ndają naiwność, — prawdziwe nieszczęście, choć doskonale aktorki. Wiekuiście się ma do czynienia z fałsyfikatami.

— Książę jest bardzo snrowym, — odparł Pokutyński, stojący zawsze jako Paladyn w obronie płci pięknej.

— A! nie! — przerwał de Ligne, — ma zupełną słuszność. Na całym wielkim świecie to samo. Piszę się na jego zdanie.

— Ale, mój Pokutynsiu, już się nie kłóćmy, — przerwał Popi, — mów mi o tćj ślicznćj szambelanównie. Imię jćj! nie wiesz imienia?

— Owszem! Sylwia!

— *Superlotte!* — rozśmiał się de Ligne, imię jakby z romansu czy z poematu!

— A mnie się ono właśnie niebardzo podoba,— odparł Pepi.— Wolałbym prościejsze a mniej wymuszone. Kto jój nadał takie imię, chyba nie szambelan?

— Domyślam się, że to było sprawą matki, którą książę zapewne przypominać sobie musisz, rzekł Pokutyński, — była wcale piękna, wesółła i hołdów chciwa.

— Nie... nie przypominam jój sobie, — odparł zamysłony książę. — Wracając do panny Sylwii, nie wiesz, będzie jutro w teatrze?

— Postarany się o to, — rzekł Pokutyński.— Wiem że pauna sobie życzy tego gorąco, i jój *chaperon*, niejaka pani wojska Czeżewska, także mocno tego pragnie, więc, choćby sam Burzymowski się sprzeciwiał, kobiety na swojém postawiają.

— Cieszę się tém zawczasu, — odezwał się klepiąc po bokach szambelana. — Nie wiesz Pokutynsiu, z kim one mają znajomości?..

— Dotąd podobno żadnych, — odpowiedział z pośpiechem i usługomością Pokutyński, — ale... łatwo się znajdą stosunki.

I zniżając głos szepnął do ucha księciu.

— Majorowa Habąkowski jest pono w ściślejszej przyjaźni z *Chaperonem*. Majorowa dowiedziawszy się o ładnej pannie, już tam była, wciśnęła się i objęła komendę.

Skrzywił się posłyszawszy o Habałkowskię książę.

— Towarzystwo nie do zazdrości dla pięknej i naiwnej wieśniaczki, — rzekł cicho. — Ta wyśmienita dla nas, niegdyś ładna Jutka, nadto usłużna, i niebardzo bezpieczna...

Ruszył ramionami.

— Znajomość z majorową dla starszych może być bardzo wygodną, — dodał, — dla takich prostodusznych i dobrych wieśniaków, wołałbym inną mentorkę...

Pokutyński słuchając zdawał się dziwić, ale nie powiedział nic.

— Coś tam podobno jest lepszego nad to, — dodał zwolna się wygadując szambelan. — Matka nieboszczki pani Burzymowskiej, przyznaję się do niewiadomości, kto była z domu, ale mówią, że miała być w jakiejś dalekiej kolligacyi z Tyszkiewiczami.

— A! to co innego! — zawołał weselęj książę. Także mi mów. U nas w ogóle szlachta i panowie, wszyscy ze wszystkimi są jakoś skolligaceni. Bywa to niezmiernie nudném i uciążliwém, bo się ma kuzynów bez liku, ale czasem z tém wygodnie, gdy kuzynki są ładne, a tytuł do pewnej poufałości upoważnia. Jestem bardzo ucieszony z naszej kolligatki panny Burzymowskiej.
Cela me va!

Pokutyński tonem księcia poufałym i rozweselonym czuł się ośmielony i rzekł.

— Wie książę, że już dawno nie pamiętam, abym miał szczęście widzieć go tak ożywionym i — *lachons le mot* — rozplómiennionym do twarzyczki zaledwie dojrzanéj przez okienko.

— Pokutynsiu! cóż to jest — odparł Pepi wesoło, — także ty mnie znasz mało! Nie pamiętasz chyba, ile razy anioly porywały mnie z sobą w niebiosą, a śmiechy ludzkie ściągaly za nogi na ziemię! Nie pierwszy to raz... i spodziewam się, nie ostatni.

— Tak! tak! zawsze ten sam kochany Pepi, wtrącił de Ligne. — Pali się co chwila płomieniem ogromnym, rzekłbyś że to pożar Troi, że w nim spłonie wszystko, tymczasem jest to ogień słomiany (*un feu de paille*) i prócz słomy nie w nim nie ginie.

— Niech sobie będzie ogień choć słomiany i krótki, — zawołał wesoło maszerując po pokoju Pepi, — zawsze to trochę grzeje... a ty jesteś już popiołem, z którego nic a nic zrobić nie można!

— Przepraszam, — odciął się książę de Ligne, — *on en fait de la lessive*. (Robi się z niego ług do prania.)

Śmiano się z tego konceptu, przypominającego dowcipy ojca, a Pepi przyjaciela pocałował za w głowę.

— Prawdziwy de Ligne z ciebie, — zawołał

głośno obracając się do Pokutyńskiego i zapominając o *incognito*. — *Il chasse de rage*.

Po krótkim śmiechu Pokutyński znowu głos zabrał.

— Wie książę, — rzekł, — że w téj Warszawie nie się na chwilę w tajemnicy utrzymać nie może. To prawdziwe sito, przez które wszystko natychmiast przecieka. O wczorajszym bukicie już doszła wiadomość nawet do salonu (wskazał palcem na drzwi). Znalazłem tam hr. Wielhorską, panią Stasiową i Cichocką, rozpowiadające całą tę historję przed panią de Vauban.

— Bah! — rzekł książę obojętnie, — Jeśli je to bawi! A mnie cóż to szkodzi?

— Nie chciałbym, aby z ust do ust imię W. ks. Mości doszło do ojca, — rzekł Pokutyński. — Stary obawia się niezmiernie o córkę, zazdrosny jest o nią, drażliwy. Zresztą pomimo że czasem *je* zamiast *moi* używa, Burzymowski jest najpocciwszym z ludzi, dobry, łatwo się ująć dający.

— Więc żeby się nie krzywił, a córki nie zamykał za klauzurą, — rzekł książę zbliżając się do szambelana i obejmując go za szyję, — ty, Pokutynsiu, weźmiesz go na siebie! Zrobimy tak, aby jutro z teatru pannę zabrano do nas pod Blachę, ty zaś ojca!.. no? jak ci się zdaje? co zrobimy z ojcem?

— Z ojcem? — powtórzył zadumany szambelan. — Jest bufet przy teatrze?..

— Jakżeby go nie było? — odparł książę, — bufet jest pierwszą potrzebą! Gdyby go nawet nie było, to na jutro nfundować go należy.

— Ojca my zaciągniemy do bufetu, — ciągnął dalej Pokutyński. — Na drodze gdyśmy się z nim spotkali na gruncie księcia, bo w Jabłonnej, poznał się z musu z Bielińskim, Kalinowskim i kilką birbonami naszymi. W imię tej znajomości łatwo nam go będzie wziąć na kieliszek burgunda, a wlać w niego parę butelek... Mam nadzieję, że go w ten sposób przytrzymamy.

— Złoty jesteś! nieoszacowany! — zawołał śmiejąc się książę Józef. — Plan cały wybornie osnuty, idzie tylko o to, aby nam co w drogę nie weszło i wykonania nie popsulo.

— Nie przewiduję nic, — odparł Pokutyński. Za szambelana ja ręczę, ale któż się podejmie porwać pannę i zawieźć ją pod Blachę?

— To moja rzecz, — rzekł książę. — Nicpodobna aby mi która z pięknych pań nie podjęła się tej interwencji. Znajdzie się sposób zbliżenia się, poznania... *Enfin*.

— Majorowa wreszcie! — szepnął Pokutyński, ale na wspomnienie imienia tego książę się zmarszczył znowu.

— O! zmiłuj się! — zawołał prędko, — niech ona mi tego kwiatka nie tyka! Bardzo lubię majorową w innych — wypadkach, ale gdzie idzie

o ideały, powinna się trzymać zdaleka. Wszystkoby popsula i sprofanowała.

Zamilkł Pokutyński.

Książę de Ligne, którego ta narada nie bardzo się bawić zdawała, ziewał coraz jawniej a przez litość nad nim, rozmowę przerwać było potrzeba.

Dał znak Pokutyńskiemu książę, poszeptali z sobą coś pocichu i szambelan wysunął się nazad na palcach do salonu, gdzie już liczniejsze towarzystwo, powróciwszy z próby teatralnej, żywo się zajmowało jutrzejszą reprezentacją.

Dwaj przyjaciele znowu pozostali sami, gdyż książę de Ligne wcale się w towarzystwie pokazywać nie myślał, a Pepi chętnie mu dotrzymywał kompanii. Tyle mieli wspólnych wspomnień przeszłości, począwszy od Kaniowa, Kijowa, Sabacza, wojsk austriackich, wiedeńskiego dworu aż do wieczorów w Łazienkach i na zamku.

Późno w noc Ludwik opuścił przyjaciela, umawiając się z nim na dzień jutrzejszy.

Po odejściu jego książę przywołał kamerdynera, spojrział na zegar, przeszedł się po swój sypialni i namyśliwszy skierował ku małemu salonikowi pani de Vauban, przytykającemu do jój sypialni.

Buduar ten, gabinet czy salon wreszcie, bo niewiedzieć jak nazwać go było, ogrzany był jak wszystkie apartamenta pod Blachą do niewytrzymania, i pełen jakiegś woni silnej, odu-

rzającą, którą nerwy gospodyni delikatnej i chorej cudem jakimś znosiły. Nie było w nim innego światła nad naczynie alabastrowe zwieszone od sufitu, w którym przyćmiona lampa płonęła. Miękki dywan okrywał podłogę. Dokoła sofę powleczone gobelinami biegły przy ścianach, przypominające tureckie domy, w których za siedzenie i posłanie służy razem. Para małych stoliczków, z koszykami u spodu, dwa alabastrowe naczynia w kątach, tego dnia nieoświecone, były wszystkim sprzętem tego cichego schronienia. Nad kominem, w którym się nie paliło, wielkie zwierciadło w mur wpuszczone odbijało słabe lampy światelko.

Gdy książę pocichu wszedł, pani de Vauban, w kaszmirowej sukni długiej, w pantofelkach, z włosami niezem nieokrytymi, których niewiele miała, stała z flakonikiem w ręku naprzeciw drzwi.

Na sofie niedaleko od nich siedział słusznego wzrostu, przystojny, w francuskim stroju dosyć eleganckim mężczyzna średnich lat, w którym łatwo francuza poznać było można. Twarz miał bladą, w oczach dosyć ognia, rysy dość pospolite, a postać cała czyniła wrażenie człowieka, który fantazją nadrabiał czując się nie na swoim miejscu. W ręku trzymał więcćj może dla kontenansu niż potrzeby (jak mówią francuzi) złotą tabakiereczkę, którą z dłoni do dłoni przerzucał.

Na widok wchodzącego powstał natychmiast

z pewną służbistością źle pokrytą wyszukaném ugrzecznieniem. Ruszając się z miejsca razem pochwycił za leżący obok niego kapelusz, jakby się już do wyjścia zabierał — i nie chciał księciu przeszkadzać.

Pani de Vauban stała zupełnie obojętna, wpatrując się w księcia z uwagą. Ten naprzód ją skinieniem głowy grzecznie pozdrowił, potem rękę wyciągnął ku kłaniającemu się nisko mężczyźnie.

— Dobry wieczór, mój drogi Vauban! — odezwał się do niego książę. — Jakże się wam próba powiodła?

— Doskonale! z takimi artystami jakich tu mamy, nie może pójść źle nigdy!

— A! powiedz przy takim doskonałym reżysserze i instytutorze jakim ty jesteś, — odparł Pepi z uśmiechem. — Artyści i artystki wszystko winni tobie, kochany Vauban.

— A ja im winienem prawdziwą przyjemność, bo nigdzie, nawet we Francyi, w najlepszych naszych domach, w których na inteligencyi nie zbywa, takich talentów nie spotykałem, — odparł Vanban z wielkim zapalem.

Począł mówić trochę głośniejszym głosem, żona mu dała znak.

— Pst! proszę cię! zapomniałeś, że ja takiego hałasu nie znoszę.

Vauban się skłonił.

— A! przepraszam! — rzekł ciszej, — zapomniałem się w istocie.

Pepi zwrócił się ku pani.

— Cóż, ta głowa? czy zawsze boli jeszcze?

Rękę dosyć dużą przyłożyła zapytana do czoła, zrobiła minkę męczennicy i za całą odpowiedź westchnęła.

Vaubanowi widocznie pilno się wynieść było; posunął się ku żonie, która bardzo zwolna wyciągnęła mu rękę do pocałowania, skłonił się księciu, który dłoń jego ścisnął i na palcach wysunął się z buduaru.

Książę stał naprzeciw chorągiewi pani, jakby zakłopotany, co ma począć z sobą. Ona milczała chwilę.

— Kochany Pepi, — odezwała się głosem dosyć chrypliwym, — jaki ty jesteś w swych fantazyach nieostrożny. Właściem cię przestrzedz chciała.

— Cóż tam takiego? — głosem człowieka zmęczonego spytał książę.

— Znowu jakaś młoda twarzyczka, — ramionami ruszając mówiła patrząc na podłogę i usta krzywiąc przymuszonym uśmiechkiem pani Vauban. — Cała Warszawa już dziś mówi o tym bukiecie..

— A! — odparł książę Józef, — cóż tak wielkiego!

— Wiesz jak ja jestem wyrozumiała na to wszy

stko, — dodała zwolna na sofę padając Vauban, — nie posądzisz mnie o jakąś niedorzeczną zazdrość, ale... we własnym twoim interesie, nie godziło się nadawać temu takiego rozgłosu...

— Czyż moja wina — rzekł książę.

— A czyja? — spytała kobieta. — W biały dzień posyłać dzokeja, którego zna całe miasto...

Książę tak był znudzony temi przestrokami macierzyńskimi swój przyjaciółki, że po twarzy jego poznać to musiała, i zniżając głos powoli, w końcu zamilkła.

Pepi przeszedł się parę razy po budoarze.

— De Ligne długo zabawi? — zapytała.

— Sądzę, że jntro jeszcze, — rzekł książę, — *incognito* zawsze, radby być w teatrze, a po nim zapewne zaraz wyjedzie.

— Wyobraża sobie, że jest *incognito*! — cicho poczęła szeptać Vauban. — Jest to także fantazya, której nie rozumiem. Wszyscy o nim wiedzą, a do pobytu księcia de Ligne nikt pewnie wagi nie przywiązuje.

— Masz słusność, — odpowiedział książę, — ale mu się nie chciało wchodzić w świat, oddawać wizyty i nudzić się już i tak straszliwie znudzonemu wszystkiem co go otacza...

— Mój Boże! — westchnęła Vauban, — co do nudów, *il faut en prendre son parti*, nikt od nich wyjęty nie jest, gdy pewnych lat dożyje!

Ponowilo się westchnienie.

Książę niegrzecznie trochę, nie ukrywając się z tém poziewał.

Spojrzeli na siebie.

— Ten poczciwy Vauban, — odezwał się książę, — męczy się dla nas teatrem. Ile razy przyjdzie tu, biorą go w rekwizycję, żal mi go.

— Dajże pokój! — odparła Vauban, — on także się nudzi, a to go trochę rozrywa; wy zaś doprawdy lepszego byście nie znaleźli reżyssera.

— O! i artyści! jest duszą teatrów naszych! dodał książę.

— Biedny człek, — cicho szepnęła Vauban, — musi się śmiać na scenie, gdy troskę ma na głowie. Nasze położenie emigrantów...

Przewidując że się elegia nad losem wychodźców francuskich przeciągnąć może, książę Józef spojrzał na zegarek.

— Ale bo, późno! Ten ból głowy, jesteś zmęczona! Przepraszam, już idę.

Pocałował ją w rękę.

Skinęła nań jeszcze francuzka i przybliżającemu się szepnęła coś na ucho. Vaubana imię kilka razy się powtórzyło, książę dał znak głową że się zgadza. Pilno mu było odejść równie jak jęj zatrzymać go dłużej. Wysunął się w końcu z łaźni téj książę i korytarzami pospieszył do swojego mieszkania.

Dzień zdawał się skończony, cichość panowała w całym pałacu pod Blachą. Wróciwszy do

sypialni, gdzie nań czekał stary sługa, książę odprawił go ruchem ręki, sam siadł na sofę i zapaliwszy fajkę sparty na łokciu zadumał się, jakby przed sobą sprawę zdawał nie tylko z ubiegłego dnia, ale z upłynionego życia.

Rozmowa z przyjacielem poruszyła stare wspomnienia, a może dotknęła zielonych nadziei. Zasepiony siedział tak długo patrząc na łóżko, na którym położyć się nie miał odwagi.

Wzrok jego padł na rysunek konia, który mu tam życie ocalił, gdzie od kuli padł Iliński, i łza się zakręciła w oku...

Koniec Tomu 1go.



Biblioteka Raczyńskich

JK 791



JK0791